ODRA

Cena 7 zł

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II — Katowice — Wrocław, 14 kwietnia 1946 r. — Nr. 9 (20)

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego 02015

Edward Serwański

Niemiecka kwadratura koła

Naród polski szczególnie doświadczony w ostatniej wojnie jest dziś nad wyraz czujny na wszystkie sprawy, które w czymkolwiek dotyczą zagadnienia niemieckiego. Czujność ta, więcej — stan ustawicznego podejrzewania Niemiec, jak i patrzenia im na palce — nie ma być jakimś tam dowodem nierozumnego lęku — a z tym związany niepoważny krzyk, czy niepotrzebne alarmowanie opinii o niemieckim diable, co przecież każdemu może się sprzykrzyć — ale to dowód naszego rozumu politycznego i dojrzałości naszego politycznego spojrzenia.

Chcąc w pełni zrozumieć proces regeneracji narodu niemieckiego, zauważyć trzeba istotne momenty w procesie odbudowy co dopiero pokonanych Niemiec.

I.

Moment, na który zwróciliśmy przede wszystkim uwagę, to niemiecka konspiracja. Rozpoczęło się od nierozbitych doszczętnie formacji Wehrmachtu i SS i kontynuuje się to poprzez najrozmaitsze formy nielegalnej działalności aż do organizacji „Acht und acht". W tych organizacjach konspiracyjnych schronił się przede wszystkim najbardziej skompromitowany wobec aliantów element, który w tej nielegalnej działalności widzi jedyną szansę kontynuowania akcji zbrojnej zwyciężonych ze zwycięzcami.

Byłoby jednak poważnym błędem, gdybyśmy już w tej działalności widzieli zagrażające nam niebezpieczeństwo.

O wiele ważniejszym i grubo niebezpieczniejszym momentem w procesie odbudowy Niemiec jest ogromna na szeroką skalę zakrojona, a obejmująca całe Niemcy półjawna działalność narodu niemieckiego, zmierzająca wyraźnie do jak najwcześniejszej odbudowy państwa i pozbierania wszystkich sił narodu, nadwątlonych wojną. Z niezliczonych komunikatów dochodzących do nas z Niemiec poprzez prasę polską niezbicie wynika, jak Niemcy wszystkie jawne formy życia społecznego, gospodarczego, kulturalnego i rzecz nie do wiary — politycznego wykorzystują w całej pełni dla prowadzenia jednej wielkiej polityki zupełnego wyemancypowania się spod jakichkolwiek wpływów obozu alianckiego. Tu schodzą się te dwie postacie akcji walki z aliantami, wiążą się te akcje wzajemnie i wzajemnie uzupełniają.

Powiedzieć by można, że to jest drugi wyższy stopień cywilnej wojny, jaką Niemcy wypowiedziały zwycięzcom i akcję tę prowadzą niestety nie bez powodzeń.

Ale sedno niebezpieczeństwa niemieckiego nie wyczerpuje się w tych dwóch przejawach walki cywilnej z aliantami. Ogromny rozwój życia kulturalnego w Niemczech, którego głównym celem jest podnieść ducha niemieckiego, nad wyraz czynnie rozwinięta wielka akcja życia społecznego, intensywny proces regeneracji życia gospodarczego, a dalej wielka działalność polityczna t. zw. politycznych stronnictw demokratycznych — legalna, aprobowana przez aliantów we wszystkich strefach na terenie całej Rzeszy — oto właściwe niebezpieczeństwo i w tym sedno niemieckiej sprawy.

Stwierdzając to — nie bądźmy naiwni: proces regeneracji jest procesem naturalnym i nie ma siły, która by mogła temu naturalnemu procesowi przeszkodzić. Ale nie o to chodzi. Chodzi o rzecz istotną, w jakim kierunku idzie cały ten proces regeneracji, jaki cel Niemcom w tym procesie przyświeca — i z jakich źródeł czerpią oni nowe zamysły; wreszcie według jakich wzorów i na jaką modłę dokonuje się plan wielkiej przebudowy. Odpowiedź otrzymamy, gdy wnikniemy w alchemię życia zbiorowego współczesnych Niemiec.

II.

Hitleryzm pozostawił dla Niemców obiektywy w swej wartości, bezcenny dorobek organizacji, materialną, techniczną budowę struktury społecznej, gospodarczej, politycznej i życia kulturalnego, struktury, w której wszystko składając się w jedną wielką logiczną całość stało się zarazem dla nich przykładnym wzorem organizacji narodu i państwa. Siła ciążenia organizacji, obejmującej całokształt życia narodowego i państwowego, jest tak wielka, że kierując się tylko normalnym porywem życia niesposób z tego dorobku nie skorzystać. Tym więcej dziś w dobie klęski. Do czegoś trzeba nawiązać, chcąc pozbierać naród i państwo. Oczywista najlepszym wzorem będzie ten, który wniesie w to życie najwięcej ładu, karności, dyscypliny, porządku, który będzie miał najwięcej elementów dośrodkowych, który pójdzie ku mechanizacji stosunków i niwelowania różnic. Ustrój faszystowskich Niemiec jest tutaj najlepszym wzorem. Bo — ostatecznie — do czego sięgać — do nieboszczki republiki weimarskiej, kiedy hitlerowska organizacja życia narodowego i politycznego jest jeszcze świeża i zapewniająca najlepiej ciągłość wszystkich przejawów życia niemieckiego. A przecież o tę ciągłość chodzi. To jest dla Niemców najważniejsze. Ale gdybyż to był tylko centralizm techniczny, administracyjny. Niemcom chodzi o zupełnie coś innego. Chodzi o cele wybitnie polityczne. Zwróćmy uwagę tylko na jeden moment: Jak trudno było dokonać na przestrzeni całego tysiąclecia historii narodu niemieckiego procesu unifikacji i jedności politycznej Rzeszy Niemieckiej. Czymże w ostateczności było cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego jak nie jedną, ciągłą bez przerwy trwającą walką sił odśrodkowych, które w ostateczności zwyciężyły, rozwijając cesarstwo. Zwróćmy uwagę i na jeszcze jeden moment: Nawet Bismarkowskim Prusom nie udała się unifikacja polityczna Rzeszy Niemieckiej. Osiągnął ją dopiero Hitler. Jest to jedno z największych osiągnięć narodu niemieckiego. Osiągnięcie dla nas i dla pokoju europejskiego i światowego niewątpliwie bardzo niebezpieczne. Hitleryzm dał wreszcie Niemcom idealny wzór organizacji społecznej, jedności narodu, a politycznie jedności państwa, Rzeszy Niemieckiej. W dobie klęski niemieckiej i podziału państwa niemieckiego na strefy było by nonsensem życiowym nie liczyć się z próbami nawiązywania do wczorajszego wzoru.

Pozornie wydawało by się, że co innego jest sprawa technicznej materialnej unifikacji Rzeszy Niemieckiej, a co innego tendencje polityczne sił, które do tej unifikacji technicznej zmierzają. Zdaniem naszym i jedno i drugie równie jest niebezpieczne, więcej, jedno od drugiego jest ściśle zależne, wzajemnie się uzupełnia.

Fakt centralistycznych dążeń narodu niemieckiego, siłą rzeczy według wzorów hitlerowskiej organizacji politycznej i społecznej narodu, jest jednym z największych niebezpieczeństw. Stąd pełne rozbicie życia państwowego, administracji, zróżnicowana ze względu na odmienne typy okupacji było by pierwszym czynnikiem bezpieczeństwa, przynajmniej opóźniającym proces centralizacji życia politycznego Rzeszy. Wszystkim tym próbom centralizacji należy w polityce naszej przeciwstawiać się stanowczo.

III.

Ale obok tej wielkiej próby, czynnikiem zgoła niebezpieczniejszym jest jedność duchowa Niemców, także bezprzykładna w dziejach, jako niewątpliwe dziedzictwo procesów niwelacyjnych hitleryzmu, jedność duchowa wzmocniona w obliczu klęski. To jest bodajże wszystko co można powiedzieć o współczesnym niemieckim niebezpieczeństwie. Odwołajmy się tutaj znowu do socjologii, a sprawy staną się dla nas nie mniej jasne. To, że hitleryzm stał się najwłaściwszym wyrazem duszy niemieckiej, jej wykwitem, nie ulega już dziś dla nas żadnej wątpliwości. Praktykujący dziś na ławie oskarżonych w Norymberdze zbrodniarze posłużyć nam mogą jako wzór. Ów jad, owa trucizna w organiźmie duchowym narodu niemieckiego została. To są procesy. Precesy społeczne nie kończą się dziś, by jutro ustąpić drugim. Na to trzeba czasu i własnej wewnętrznej nieprzymuszonej dyspozycji, na to trzeba mieć siłę woli, aby ze złego zrezygnować. Tego się w żadnym wypadku nie zrobi na rozkaz. Domagając się od Niemców żeby się gwałtem natychmiast poprawili jest rzeczą naiwną, zgoła śmieszną. 20 lat hitleryzmu i około 18 lat rządów w historii narodu mającego 1000-letnią tradycję państwowości, to jest bardzo mało. Ale nie jest to bez znaczenia dla współczesności. Dla oceny sytuacji dzisiejszej i jutrzejszej operować możemy dziesiątkami lat. Perspektywy naszego życia politycznego pokolenia współczesne rzutować mogą najwyżej do lat 100. Te 15, 20 lat hitleryzmu w ramach naszego czasu t. zn. kilku sąsiadujących czasem pokoleń, to jednak coś znaczy. Hitleryzm wypełnił duszę niemiecką na czas życia szeregu pokoleń. Naród niemiecki hitleryzmem jest przesiąknięty nawskroś. 20 czy 15 lat wszystkich tych wprowadzi w błąd, którzy na własnej skórze nie zaznali fantastycznej wprost

(Dokończenie na str. 2-giej)

Perspektywa Odry

Interesują nas sprawy naszych trzech sąsiadów od zachodu i południowo-zachodu. Mówimy: trzech, bo jako trzeciego sąsiada uważamy Łużyczan, choć nie posiadają politycznej niezależności i są wciągani w tryby administracji ogólno-niemieckiej. Oczy nasze na Czechów przybierać muszą ten sam kolor i blask, który posiadają ich oczy, zwrócone na południowe stoki naszych Ziem Odzyskanych. Spojrzenie na Niemców musi być twarde i przenikliwe tym więcej, że dochodzące z Niemiec wieści głoszą powstanie pewnych antypolskich organizacyj, wrogich przede wszystkim polskiemu porządkowi nad Odrą i Nysą.

Współżycie z sąsiadem czeskim cenimy sobie i pragniemy, by było ono wolne od szowinizmu i t. zw. dyplomatycznego zakłamania i uprzejmości. Nie chcemy, by Czesi spoglądali na nas i na nasze Ziemie Zachodnie oczyma świętego już niemal dla nich Bezrucza ani też sami nie myślimy na nich patrzeć spojrzeniem przedwojennych paszkwilantów.

Łużyce... Trudno nie postawić wielokropka po tym słowie. Sąsiadujemy z nimi i piszemy o nich, poznajemy ich przeszłość. Tymczasem z Łużyczan jak dech ostatni ulatuje wiara, rok temu rozbudzona do nowych czynów. Spojrzenie nasze na Łużyczan musi się poślizgnąć o błyszczący kask „demokratycznego" niemieckiego policjanta, który na ziemi łużyckiej znowu objął służbę.

W perspektywie Odry widać wiele rzeczy jaśniej i dokładniej, niż było je widać w perspektywie Wisły. Przede wszystkim z tej perspektywy widać jaśniej Niemców. Zaludniają się ich miasta na lewym brzegu Odry, sprowadza się tu młodzież i buduje dla niej szkoły, otwiera się wspaniałe teatry. Już dziś można by to nazwać prowokacją, bo nasiedlanie to jest sztuczne, ale nie będziemy małostkowi. W każdym razie nie może zamglić się nasze oko, wpatrzone po żołniersku ponad falą rzeczną w tamten drugi brzeg Odry, w tamte lasy, miasta, wsie i wysokie dzwonnice kościołów.

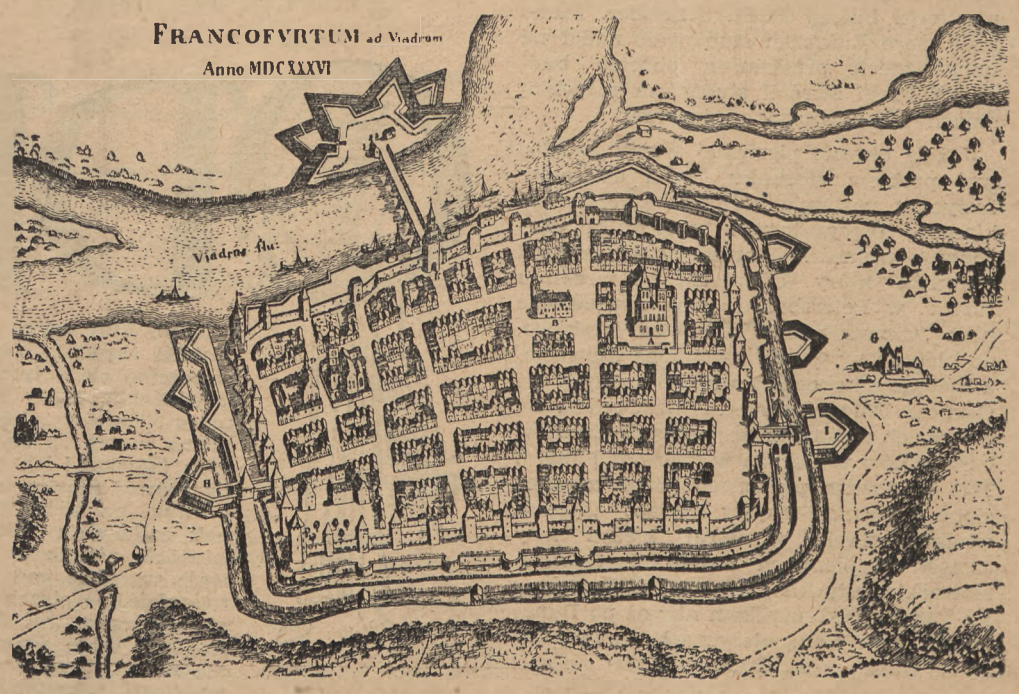

Frankfurt nad Odrą, leżący naprzeciwko polskich Słubic. Tu we Frankfurcie szczególnie żywa jest antypolska propaganda, stąd wychodzi dywersja i antypolska plotka na nasze Ziemie Zachodnie.

BIBLIOTEKA INSTYTUTU ZACHODNIEGO

dynamiki ruchu hitlerowskiego, tempa i intensywności procesów ideowo-politycznych zachodzących w umysłach i sercach, wszechogarniającej siły, która poprzez totalny system penetracji życia dotarła do wszystkiego, ostatniego, jednostkowego przejawu życia.

Ta eruptywna, powiedzmy nawet wulkaniczna energia zrewolucjonowała Niemcy, prowadząc najkrótszą drogą, jak najlepiej sam Rauschning zauważył, naród niemiecki ku nihilizmowi. To są ciążenia i obciążenia, które po prostu prawem fizyki społecznej, o ile się tak można wyrazić, nie pozwolą narodowi niemieckiemu wyjść z tego przeklętego koła. Dziewczęta niemieckie witające się do dziś w Jeleniej Górze na publicznym miejscu przepełnionym Polakami pozdrowieniem „Heil Hitler" w sposób jawny, bez próby pełnej uroku konspiracji są emanacją tej ciążącej nad Niemcami siły. Angielska miss, dokonywując oficjalnej inspekcji szkolnictwa niemieckiego na terenie Rzeszy i cichaczem wracająca do Anglii, milczeniem swym niewątpliwie powiedziała bardzo dużo. Wybitni działacze współczesnych stronnictw politycznych nie mający w czasie swych publicznych wystąpień innych zmartwień jak rozprawiać się z Polską, jak gardłować na temat granicy wschodniej, to najzwyczajniejsi reprezentanci najgorszej zaborczej polityki niemieckiej.

Działa trucizna krwi i ducha. Niemka w Szczecinie chodząca po zakupach do sklepów polskich z pozdrowieniem „Heil Hitler" — i sama przerażona tym swym automatyzmem, jest dobrym świadectwem sprasowanej przez hitleryzm psychiki niemieckiej. Niemcy nawet odruchowo są hitlerowcami.

IV.

I nad współczesnością obecnych Niemiec unosi się jak gdyby w cichym czarnym cieniu ogromna legenda wielkich sukcesów i osiągnięć militarnych zarówno całego narodu, jak i Wehrmachtu. Nic to, że się skończyło klęską, sukcesy były tak fantastyczne i niewątpliwe, że zasłonić ich nie będzie mogła nawet dotkliwa klęska. Znajdą się znowu politycy, historycy, generałowie, którzy wytłumaczą i wyjaśnią wszystko i udowodnią, że Niemcy właściwie klęski nie poniosły, lub też były powody tej klęski takie, które hitleryzm i Wehrmacht aż nadto dobrze wytłumaczą.

Istota zostanie: sława niemieckiemu wojsku, chwała Hitlerowi i Wehrmachtowi! Takimi sukcesami nie może się pochwalić żadne pokolenie niemieckie. Zawrotna kariera wojenna Rzeszy hitlerowskiej frapować będzie umysły i serca. Dla setek tysięcy i milionów Niemców przeżycia wojenne będą pożywką — przerabianą tysiąc razy w duszach żołnierzy, wspomnienia wojenne będą ucieczką od życia współczesnego, dzień wczorajszy będzie schronieniem dla Niemców przed dzisiejszymi gorzkimi uczuciami zawodu i żalu. I ten dzień wczorajszy będzie gromadził w zawiedzionych duszach nowe emocje. Wspólna żołnierska dola złączyła wszystkich Niemców w jedno powszechne uczucie braterstwa, solidarności i jedności. Jedność ta będzie dominowała w Niemczech ponad wszystkie podziały. Będzie to jedność wypływająca z żywego w Niemczech ducha militaryzmu. Do tej jedności najłatwiej będzie się można odwołać. I to jest najbardziej niebezpieczne. To będzie pierwszą, wspólną platformą — do przyszłego startu. To co dziś w swych próbach wychowawczych anglo-sasi zamierzają z duszy niemieckiej wyplenić, to jest właśnie najsilniejsze.

V.

Poza tym — naród niemiecki jest. To nie sprawa narodu polskiego, który na wypadek jakiejkolwiek klęski zaraz musi ginąć. Jest państwo niemieckie. I znowu to nie państwo polskie, które na wypadek klęski zaraz traci niepodległość.

Dziś mamy w Niemczech strefy okupacyjne, jutro będzie wspólny zarząd administracyjny w rękach niemieckich, pojutrze rząd niemiecki. Sprawy zrozumiałe i proste. Niemcy, to nie wyspa, którą można skazać na izolację — to przede wszystkim jednostka geograficzna stanowiąca nierozerwalną całość z całym organizmem fizycznym Europy. To tylko taką jednostkę geograficzną jak Polskę można pokryć granicami politycznymi i uczynić z niej składowe części innych jednostek geograficznych. Dalej Rzesza niemiecka jest już tradycyjnie wykształconą jednostką gospodarczą w jednej wielkiej gospodarczej całości Europy i stanowi jej organiczną całość.

Tysiącletnie tradycje państwowości niemieckiej i trudność wyobrażenia sobie jakiegokolwiek układu stosunków politycznych bez Niemiec w Europie, oto problemy. Niemcy dobrze sobie zdają z tego sprawę i wszystko będą robili, aby znowu stać się pełnym partnerem politycznym. Proces norymberski pomaga Niemcom na nowej drodze życia. Na ławie oskarżonych zasiedli ci, którzy podobno tę wojnę wywołali. Naród niemiecki jest tylko świadkiem. Gdy zbrodniarze hitlerowscy zawisną na szubienicy, naród niemiecki uwolniony zostanie od przestępców i winowajców i zyska wolną rękę do swobodnego działania. Takie sądy są dzisiaj w Niemczech powszechne. Od tego bezwstydnego kłamstwa rozpoczną Niemcy nowe życie. Od zbrodni i kłamstwa rozpoczęli przed lat tysiącem ogniem i mieczem znaczony marsz na wschód, gdzie na wykarczowanych słowiańskich dziedzinach znaleźli źródło swej potęgi, od kłamstwa rozpocznie się regeneracja niemieckiej Rzeszy.

Niemcy w nowym porządku znajdą przyjaciół i zwolenników. Życie gospodarcze Europy i świata ma swoje prawa. W życiu tym nie ma moralności. Możemy się łudzić lub też powinniśmy wierzyć w odbudowę moralności w życiu narodów, tak strasznie dziś doświadczonych wojną. Patrzenie jednak na ręce zarówno Niemcom, jak i tym, którzy zzewnątrz wygrywać będą tak naród jak i państwo niemieckie przeciwko pokojowi i bezpieczeństwu Europy, a jak się w ostatniej wojnie okazało i świata — to są nasze sprawy. W tym sedno niemieckiego zagadnienia.

Nie bądźmy okrutni i brutalni, jak Niemcy. Wierzmy i załóżmy, że z ciemności niemieckiej duszy wykrzeszą prawe charaktery i światłe umysły iskry godności, sprawiedliwości i uczciwości w pożyciu z narodami. Pójdziemy tym odruchom człowieczego serca i godziwej myśli na przeciw. Ale najpierw trzeba to zauważyć. W tej chwili naród polski tego nie widzi. Wczoraj walcząc z okupantem, a dzisiaj nadal czujni warować będziemy, wierni swym tradycjom walk o prawo i nasze polskie prawdy.

Jan Reychman

Czesi a sprawa łużycka

Od kiedy wiosną 1945 Armia Czerwona wkroczyła na tereny Górnych i Dolnych Łużyc i sprawa nowego układu stosunków na obszarach byłej Rzeszy hitlerowskiej stała się aktualnym zagadnieniem międzynarodowym, prasa i opinia czeska sporo uwagi poświęciła zagadnieniu przyszłego ukształtowania się losów resztek serbsko-łużyckiego narodu. Zainteresowania te nie powinny ujść uwagi opinii polskiej, która też zwrócona obecnie na Zachód, przez przesunięcie granic ku Odrze i Nisie Łużyckiej znalazła się w styczności z zagadnieniem łużyckim, i której wszelkie sprawy kształtowania się stosunków na terenach b. Rzeszy tuż u jej granic bynajmniej nie mogą być obojętne, tym bardziej, że zagadnienie słowiańskie i u nas ma silną tradycję a obecne warunki zagadnienie to u nas popularyzują i sprzyjają realizacji jego postulatów.

Zainteresowanie się Czechów Łużyczanami ma swą starą tradycję. Jeszcze w 1706 r. założyli bracia Szimonowie w Pradze łużyckie katolickie seminarium, które przetrwało aż do 1922 r., kiedy je zwinął niemiecki biskup Miśni Schreiber. Mimo tego sporo Łużyczan studiowało nadal na uniwersytecie praskim, a obecnie burmistrz Pragi zwrócił studentom łużyckim gmach ich dawnego seminarium.

Już w okresie pierwszej wojny światowej problem stosunku Czech do losów Łużyczan postawiony był w szeregu deklaracji, precyzujących cele walki Czechów o wolność. Pierwszy zjazd kolonii czeskich, który odbył się we wrześniu 1914 r. w Petersburgu miał wypracować plan „samodzielnego królestwa czeskiego, do którego by weszła uwolniona Słowacja, a którego autonomiczną częścią stałyby się Górne i Dolne Łużyce". W „Orędziu na Słowację" wydanym przez zjazd Czechów i Słowaków w Paryżu w styczniu i lutym 1915 r. granice przyszłego państwa określone są w następujący sposób: „Rzesza wielkomorawska, w której kiedyś żyły szczęśliwie plemiona morawskie (czeskie, słowackie, łużyckie i inne) — od Szumawy ku Tatrom i od łużyckich niw aż po Dunaj będzie znów naszą ojczyzną i mocną basztą słowiaństwa na Zachodzie".

Gdy po pierwszej wojnie światowej i ogłoszeniu prawa samookreślenia narodów Serbowie łużyccy pod przewodnictwem byłego posła łużyckiego na sejm saski A. Barta usiłowali w Paryżu zapewnić sobie wśród mocarstw poparcie dla aspiracyj narodowych serbsko-łużyckich a proklamacja Komitetu Narodowego Serbsko-Łużyckiego z 1 lutego 1919 r. i prośba sejmu łużyckiego z 15 marca 1919 r. próbowały zjednać sobie opinię zwycięskich narodów koalicji dla sprawy zapomnianego w morzu germanizmu narodu słowiańskiego i ze strony czeskiej nie brakło poparcia dla tych dążeń. W Paryżu czeski minister spraw zagranicznych dr. Benesz poparł prośbę Serbo-Łużyczan. Były wtedy rozważane rozmaite projekty, jak przyłączenie Łyżyc do korony czeskiej, autonomii, pod gwarancją mocarstw, utworzenia samodzielnego państwa łużyckiego w ramach rzeszy niemieckiej, „korytarza" do Czechosłowacji i in. Ostatecznie wszystkie te projekty spaliły na panewce a Łużyczanie pozostawieni byli własnemu ich losowi nawet bez zagwarantowania im praw do serbsko-łużyckiego języka w szkole czy kościele. Łużyczanie uznani zostali za „Niemców mówiących narzeczem wendyjskim", których liczbę statystyki hitlerowskie określiły na 60.000.

Podczas drugiej wojny światowej przywódcy łużyccy Jan Cyż i Ben. Szołta znaleźli się w Dachau, skąd zaraz po uwolnieniu przez Amerykan przesłali czechosłowackiemu rządowi memoriał oraz depeszę do prezydenta republiki dra Benesza. W telegramie, podpisanym przez Cyża jako przewodniczącego Łużycko-serbskiej Rady Ludowej i Szołtę, byłego członka międzynarodowego kongresu mniejszościowego pisali: „W rozstrzygającej chwili kładę jako tymczasowy przewodniczący Rady Ludowej dla Górnych i Dolnych Łużyc nasz lud i naszą ziemię pod ochronę Waszej Ekscelencji i proszę o obronę interesów łużyckiego ludu i kraju..." W memoriale obaj działacze podkreślali, że „nie mamy w obecnym czasie innej możliwości domagania się wyzwolenia swego narodu jak z pomocą bratnich słowiańskich narodów a przede wszystkim narodu czeskiego... Zostaje nam jedyna alternatywa: bądź żyć wiecznie, w ramach republiki czeskosłowackiej albo na wieki zginąć w morzu germanizmu". 10 marca 1945 Łużycki Komitet Narodowy w Budziszynie proklamował żądanie wolnych Łużyc w formie samodzielnej jednostki w ścisłej łączności z Czechosłowacją.

Ze strony czeskiej wezwania te spotkały się z nadzwyczajnie żywą reakcją. Powstały liczne związki, komitety i akcje poświęcone sprawie łużyckiej. 24 lipca 1945 w Pradze odbyła się olbrzymia manifestacja masowa poświęcona wolności Serbo-Łużyczan. Przemawiali burmistrz Pragi Vacek, minister oświaty Nejedly, przewodniczący serbskiej rady ludowej Cyż, wicepremier David i przewodniczący Związku Przyjaciół Łużyc Zmeszkal. Cyż mówił m. in. „Łużyczanie z radością wrócą do domu, mogąc powiedzieć swemu narodowi, że nie jesteś opuszczony, nie jesteś zapomniany, nie stoisz sam. Za twymi aspiracjami stoi wierny cały czeski naród... Naród łużycko-serbski nie jest jeszcze martwy, nie jest zabity. Jest żywy, podnosi głowę, podnosi ręce spętane łańcuchami. A te łańcuchy mu zdejmuje z rąk sowiecki żołnierz, słowiański brat, którego posłał generalissimus Stalin, dla oswobodzenia wszystkich słowiańskich narodów..." Minister Nejedly podkreślił, że sytuacja Słowian jest dzisiaj inna niż była w r. 1918. Słowiański Komitet w Moskwie nigdy nie zapomniał o Łużyczanach. Minister David w zakończeniu swego przemówienia zaznaczył, że „jestem upoważniony do ogłoszenia w imieniu rządu czechosłowackiego, że rząd śledzi z wielkimi sympatiami bój łużyckiego ludu z niemieckimi ciemiężcami. Rząd Czechosłowacji postara się, aby sprawiedliwa i święta sprawa aspiracyj łużyckich zwyciężyła w dzisiejszej historycznej dobie". Tak samo i prezes Związku Przyjaciół Łużyc Zmeszkał zaznaczył, że naród łużycki dąży do złączenia z Czechosłowacją.

W końcu listopada ukazały się w prasie czeskiej notatki, jak np. „Kiedy tu, bracia Czesi, przyjdziecie?" („Pravo Lidu 29. 11 1945) lub „Serbowie Łużyccy żądają przyłączenia — Nie może się powtórzyć rok 1919" („Svobodne Slovo" 29. 11. 1945), w których podano garść informacyj dotyczących stanu rzeczy na Łużycach, potrzeby usunięcia wpływu administracji niemieckiej, ulg narodowych itd. Wiadomości te podkreślały, że „ich (Łużyczan) największym życzeniem jest być przyłączonymi do

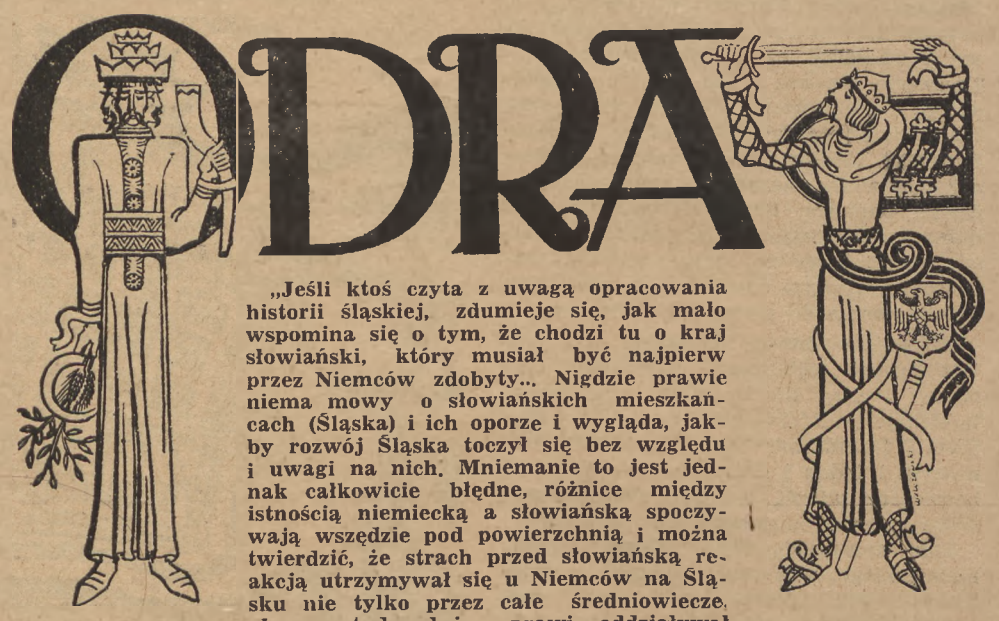

„Jeśli ktoś czyta z uwagą opracowania historii śląskiej, zdumieje się, jak mało wspomina się o tym, że chodzi tu o kraj słowiański, który musiał być najpierw przez Niemców zdobyty... Nigdzie prawie niema mowy o słowiańskich mieszkańcach (Śląska) i ich oporze i wygląda, jakby rozwój Śląska toczył się bez względu i uwagi na nich. Mniemanie to jest jednak całkowicie błędne, różnice między istnością niemiecką a słowiańską spoczywają wszędzie pod powierzchnią i można twierdzić, że strach przed słowiańską reakcją utrzymywał się u Niemców na Śląsku nie tylko przez całe średniowiecze, ale nawet decydująco prawie oddziaływał na rozwój stosunków".

(Dr. C. Gruenhagen: Koenig Johann von Bochmen und Bischof Nanker von Breslau. Wiedeń 1864).

Czechosłowacji." Gdy członkowie czeskiego Związku Przyjaciół Łużyc przybyli na Łużyce, pytali ich prości ludzie po wsiach „Kiedy wy, bracia Czesi, ostatecznie tu przyjdziecie?". Podkreślali, że wierzą, że Czesi ich nie będą wynaradawiać ale uszanują ich odrębność narodową.

Gero, margrabia niemiecki, wsławiony tępieniem plemion słowiańskich na Ziemiach Połabskich. Drzeworyt Łużyczanina Marcina Nowaka.

„Narodni Osvobozeni" z 4 listopada 1945 doniosło, że do Związku Akademickiego Czeskiego przyszła delegacja Serbów Łużyckich, aby wystarać się o możliwości dla studentów serbsko-łużyckich studiowania na czeskich wyższych uczelniach. Notatka, zajmując się w dalszym ciągu ciężkim położeniem Łużyc pisze, że „nie możemy wątpić jakie będzie miało znaczenie to, że będą oni mogli oprzeć się o własną inteligencję, która będzie na Łużyce wracać z Pragi, ze szkół tego państwa i narodu, w którego opiekę ufają".

Objawy zainteresowania się Łużycami widzimy nawet w sztukach pięknych: w listopadzie zorganizowana była wielka wystawa znanego czeskiego malarza Ludwika Kuby, poświęcona wyłącznie jego obrazom z Łużyc.

Widzimy więc, że zainteresowanie sprawami serbsko-łużyckimi nie schodzi prawie z prasy czeskiej. Obok notatek aktualnych sporo miejsca poświęca się umotywowaniu postulatu ściślejszego związku Łużyc z Czechosłowacją.

Na pierwszy plan wysuwane tu są momenty historyczne. W „Svobodnym Slovie" z 21 lipca 1945 znany historyk prof. Chaloupecky stara się uczynić przegląd tych związków Czech z Łużyczanami. Legendy mówią już, że Ludmiła, babka czeskiego księcia Borzywoja pochodziła z Łużyc. Są ślady przynależności kościelnej Łużyc do Czech z tego okresu. Za Bolesława Chrobrego dostały się Łużyce pod zwierzchnictwo polskie, ale za Wratysława (1075) wracają znów Łużyce do Czech. Stracone znów początkiem XII w połowie tego wieku wracają znów Łużyce — jako lenno Rzeszy — do królów czeskich na sto lat, kiedy w połowie XIII wieku zastawione zostają margrabiom brandenburskim. Dostają się one potem panującej w Czechach dynastii luksemburskiej, która szeregiem aktów z 1355 i 1356 r. wcieliła Górne Łużyce do korony czeskiej. Związek Górnych Łużyc z Pragą nieco osłabiony za walk husyckich ponownie się wzmocnił za Jerzego z Podiebradu. Dopiero za wojny trzydziestoletniej, za cenę pomocy danej przez margrabiego saskiego cesarzowi przy zdławieniu czeskiego powstania, Łużyce dostają się (1635) Saksonii, ale przy tym — jak umowa wyraźnie orzekała — kraj ten pozostawał krajem korony czeskiej. I nawet gdy w r. 1815 na mocy postanowień kongresu wiedeńskiego część Górnych Łużyc przypadła Prusom, stało się to z wyraźnym zastrzeżeniem, że w razie wygaśnięcia dynastii panującej w Prusach (w oryginalnej redakcji „dans le cas d'extincion de la maison de Brandebourg"), ziemia ta wrócić ma znów do korony czeskiej. Tym sposobem część Górnych Łużyc z Budziszynem formalnie została częścią czeskiego państwa, co znalazło swój wyraz i w umowie między rządem austriackim a saskim w r. 1845. Prof. Chaloupecky zaznacza, że motywy te coprawda nie mogą dziś mieć znaczenia dla określenia prawnopaństwowego tych ziem na przyszłość, ale dla podkreślenia, że nawet z punktu widzenia tak „antykwarskiej" ideologii jaką jest doktryna prawno-państwowa, kraje łużyckie uważane były za część ziemi czeskiej. Podobną motywację historyczną zawierają też artykuły historyczne w dziennikach „Lidova Demokracie" (25 lipca 1945) czy „Narodni Osvobozeni" z 30. 11. 1945.

Obok tego, za przynależnością Łużyc do Czech wysuwane są motywy obronne i strategiczne. „Wcieleniem, to jest powrotem obu Łużyc do naszej republiki" — pisze dr. J. Vszenorsky w „Lidovej Demokracie" z 27 sierpnia 1945 — werżnie się nasze państwo oparte o Rosję głęboko do Rzeszy Niemieckiej. Łużyce byłyby tym sposobem zastawem dla czesko-rosyjskich wojsk, żeby Berlin nie mógł już się nigdy odważyć na nową awanturę... Łużycko-serbskim klinem w niemiecką ziemię osłabi się obrona Berlina i w wypadku wojny będzie mogła Czerwona Armia ześrodkować swe siły na innym odcinku... Łużycami płyną czeskie rzeki, a do kogo należy źródło rzeki do tego i jej bieg. Ku Łużycom opadają zbocza naszych pogranicznych gór a więc te zbocza są nasze... Przynosiło by to i narodowościowe odzbrojenie żarłocznego sąsiada, reslawizację Łużyc, i żywioł germański nie dotykałby już granic Czechosłowacji... Przez powrót Łużyc będzie oczyszczone nasze pogranicze od niemieckiego żywiołu, a żywioł łużycki otrzyma w wyludnionych obszarach dość miejsca dla dalszego odpływu swych sił populacyjnych. Przez uchronienie Łużyc uchronimy i sami siebie..."

Nie jest takim optymistą w zagadnieniu przyłączenia Łużyc do Czechosłowacji znany badacz zagadnień narodowościowych, autor znanej mapy etnograficznej Czechosłowacji doc. dr. A. Bohacz w artykule „Sprawa łużycka" w „Svobodnym Slovie" z 11 listopada 1945. Dr. Bohacz zastanawia się nad zagadnieniem dlaczego sprawa łużycka padła na konferencjach pokojowych po 1919 r. Otóż wysuwana wtedy koncepcja państwa łużyckiego była mało realna. Państewko takie o ile miało by się składać z ziem o większości łużyckiej mogło by liczyć najwyżej 250.000 mieszkańców (i to w części jeszcze Niemców) i tworzyło by wązki pas ziemi aż po Chociebuż, cieniutkim pasemkiem wiązałby się z Czechosłowacją, ze wszech stron otoczone byłoby przez Niemców, a Czechosłowacja nabrałaby nienaturalnego kształtu, który byłby nie do utrzymania. Poza tym fakt, że tylko Czesi bronili wówczas sprawy łużyckiej więcej szkodził Łużyczanom niż pomagał, gdyż, poparcie czeskie uważane było za wyraz czeskiego imperializmu i budziło nieufność. Otóż te przyczyny — pisze dr. Bohacz — które uniemożliwiły utworzenie państwa czeskiego w 1919 r. po części się zasadniczo zmieniły, po części jednak trwają dotychczas. Pozostaje przede wszystkim obawa, aby głos czeski w obronie Łużyc nie był brany za wyraz czeskiej dążności do ekspansji. Charakterystyczne są pod tym względem pytania, które w Londynie zadawali premierowi czechosłowackiemu, czy Czechosłowacja dąży do przyłączenia Chociebuża... Naród czechosłowacki nie może dziś tak jak przed 26 laty przyjść z postulatem autonomii Łużyc w ramach Czech. Tak samo nie zmieniła się liczebność narodu łużyckiego — raczej ich ubyło niż przybyło. Tak samo nie ma i dziś zaintersowania dla małych grup narodowych, nie ma sympatii dla „narodowościowych rezerwatów".

Ale obok tego są inne czynniki, które stawiają sprawę łużycką dziś do nowego zupełnie światła. Związek Sowiecki nie bał się chronić narodowej indywidualności grup dużo mniej liczebnych niż Serbo-Łużyczanie. Tak samo dziś rozumie się dużo lepiej to, że Łużyczanami nie są tylko ci, którzy mówią po łużycku. Irlandzki przykład wskazuje, że utrata języka nie oznacza jeszcze utraty narodowości. I na Łużycach jest wiele ludności łużyckiego pochodzenia, która — choć mówi po niemiecku — ma jeszcze łużycką świadomość narodową. Najbardziej wszakże sytuacja zmieniła się na korzyść Łużyc jeśli chodzi o geografię polityczną. Jeśli granice Polski pójdą wzdłuż Nysy Zgorzeleckiej, to można będzie utworzyć państwo łużyckie opierające się o Polskę i Czechosłowację. „Łużyce tak utworzone" pisze dr. Bohacz — „weszłyby do życia na zupełnie innych przesłankach niż Łużyce planowane przed ćwierć wiekiem, a mogłyby wejść w bliski

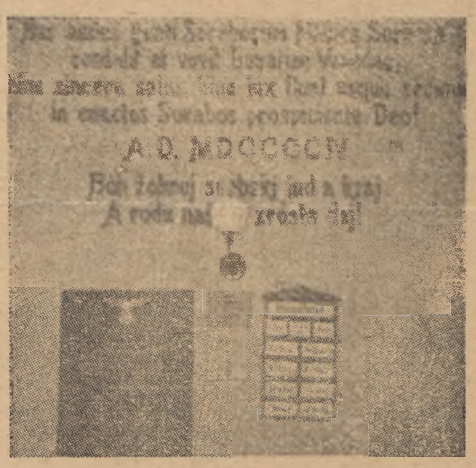

Napisy w Domu Serbskim w Budziszynie. Dom został spalony przez wycofujące się oddziały SS.

związek z jednym lub drugim sąsiadem. Rozumie się, że takich Łużyc nie stworzą Czesi. Z programem łużyckiej wolności może wystąpić tylko naród łużycki sam, bez czeskiego pośrednictwa..." Chodzi tylko o to, aby mężów stanu zebranych na przyszłej konferencji pokojowej przychylnie usposobić do aspiracyj narodowych Łużyczan; to zadanie będzie należało do wszystkich narodów słowiańskich, które muszą wesprzeć wysiłki łużyckie.

Realny głos znanego czeskiego uczonego charakterystyczny jest dla sądów, wytwarzających się dookoła kwestii losu Serbo-Łużyczan. Sądy te i kształtowanie się opinii czeskiej bynajmniej nie sa obojętne i dla nas.

Zainteresowanie okazane ostatnio przez opinię polską dla spraw łużyckich wywołało pewne zaniepokojenie w kołach czeskich. Pod tytułem „Polacy a sprawa łużycka" brneński „Cin" umieścił w numerze z 2 grudnia 1945 notatkę, w której wspominając o niedawnych odwiedzinach dziennikarzy polskich na Łużycach pisze, że „Łużycki naród pozdrawia naród polski tak samo jak wszystkie inne narody, ale prosi, żeby w wypadku, gdyby słowiańskie Łużyce przyłączone były do Czechosłowacji, bratni Polacy zachowali w tej kwestii rezerwę i nie utrudniali sytuacji Serbów łużyckich". Ołomuniecki „Osvobozeny Našinec" w numerze z 20 grudnia 1945 pisze, że w prasie polskiej coraz więcej głosów pojawia się za przyłączeniem Łużyc do Polski. Polacy powołują się na pokrewieństwo mowy, wpływ polskiej kultury na Łużycach, ale przy tym „ani jednym słowem nie wspominają o woli narodu łużyckiego być połączonym z Czechosłowacją, jak to wyrazili jego przedstawiciele, a zwłaszcza przewodniczący łużyckiej Rady Narodowej Jan Cyz zaraz po zakończeniu wojny".

Antoni Derkacz

O Madame z kokiem czarnym

Płynie walczyk, fruwają spódnice
pod plafonem, na wysokim piętrze
— otwórz w ogród czarne okiennice,
proszą madame panny co gorętsze.

Po tej wina dzikiego naręczy
opuścimy się w klasztorny sad —
gdzie przed bratem brat w opończy klęczy,
chyląc usta w twarde ciernie krat.

Za gorąco na spowiedź w kaplicy,
więc przypadli ku sobie wśród drzew —
a nad nimi z poza okiennicy,
panny w fiokach, kotylion i śpiew.

Po tej wina dzikiego naręczy
opadniemy aż po widma grusz,
gdzie przyklękli przed sobą, o ciemni!
tak dalecy od spódnic i burz.

— O bracie smutny, podejdź tu, —
ktoś woła na nas z brzegu —
zali to reszta twego tchu,
czy biała garstka śniegu!

Masz-li cierń w sercu, to go złóż —
rwie rzęsy czarna trwoga.
Pożar to tylko krwawych róż
czy ust bliskiego Boga —

—Wakacji dawnych jeszcze chłód
w altanie, dawnym latem —
To twoja wina, tyś ją zwiódł
a czas się żegnać z światem —

— O bracie srogi! co z tych słów
i ona zwiodła wzrokiem —
a teraz cieniem chłodnych głów
spadamy w mchy głębokie —

Płynie walczyk, fruwają spódnice
pod plafonem na wysokim piętrze
— zamknij w ogród czarne okiennice,
proszą madame panny co gorętsze.

Wykłuł chłopców kołnierzyk wysoki,
świece w czarnych lichtarzach noc mylą —
zwija madame pod poduszką fioki
razem z biustem sztucznym i szpilą.

O pod plafonem roztańczeni —
dolo najcichsza, dolo smutna —
spotkamy się z tą madame w ziemi
spowici w nocy chłodnej płótna.

Bogdan Ostromęcki

Na równinach

Żyjemy na równinach — gdzie pruszą
[kwitnące żyta,
a wieczorami zorza odbija się w jabłonkach
bombowiec jęczy nad polami —

Ten jęk nie głuszy śpiewu skowronka.

Lotnik nie widzi z góry naszych twarzy,
nie wie, że i teraz nie jesteśmy zupełnie
[sami
nie słyszy jak terkoczą wozy po drogach
[białych do lasu,
jak biją serca,
jak nocą grają oddechy,
kiedy przez rechot żab — nasłuchujemy
[wybuchów dalekich.

Nie jesteśmy i teraz na ziemi zupełnie sami.

I nie zostaniemy nigdy opuszczeni,
choćby samolot wrogi długo jęczał nad
[polami,
dopókiśmy w ciszę i światło zanurzeni —

W niezamierający świergot skowronka.

Czerwiec 1943.

Stanisław Ostrowski

Tęsknota

Władysławowi Broniewskiemu — autorowi „DROGI"

W pożodze ognia, krwi ulewie,
Pod niebem zimnym i wysokim,
Przez obcą ziemię, krok za krokiem,
Idę ku tobie i wciąż nie wiem:

Daleki — czy też bliski kres,
Kiedy ustami stęsknionymi
Z jękiem przypadnę do mej ziemi,
Świętej od potu, krwi i łez?...

Chyba do Boga strzelać w niebie —
Podpalać obce łany zbóż — —
Nie mogę już, nie mogę już,
Ojczyzno moja, żyć bez ciebie!

1943

Wacław Mrozowski

W zbożu

Maki polne uderzają ponad ciebie. Dotykają twych kolan, które jak wody nieruchome milczą. Maki polne plączą się w powiewach sukienki. Cierpka i świeża jesteś, masz te cechy młodości, którym jedwab nie jest potrzebny. Przykucnął oto na miedzy opasły sporysz, chciwym i czarnym okiem zerka gdy mijasz.

Maki — dokoła, skowronki wyżej. Wiosno! Brak ci tylko głowy, którą zgubiłaś razem z wieńcem. Był to wianek duchów polnych, ofiarowany ci za ciężką pracę. Splatałaś przecie tylekrotnie obrączki ślubne z dziewann dla koników świergocących w zbożu.

Teraz głowa nasycona karminem i szczęściem leży na ścieżce. A ty idziesz podobna dziewczętom, co mają dzieci tajemne a niekochane. W nic nie wierzysz. Słońce sypie ci pod nogi jasne tarcze, od których blednie mak. A ja modlę się, abyś była radosna. Modlitwy moje są do miedzy, do ścieżki, do skowronków.

Ach, Moreno, oboje czujemy się jak drzewo otrzęsione z owocu.

Aleksander Baumgardten

Dziwna historia Publiusa Corneliusa

Musi [1]) mi pan dostarczyć ich jutro — tak jak panu powiedziałem — po 55 zł. i nie więcej niż 100 par — dokończył wraz z ostatnim łykiem podłego piwa pan Stanisław, mrużąc łakomie swe bure oczy i zabierając się do odejścia.

U drugiego końca stołu pozostał zmięty ostatecznie kontrahent, kiwający jeszcze długo po odejściu pana Stanisława swą niewykończoną głową nad obszarpanym brudnym — jak cała zresztą tranzakcja — kołnierzykiem.

Marne było to dzisiejsze pana Stanisławowe zwycięstwo. Płotka poprostu. Jakie 700 do 1000 złp. zarobku. I to jeszcze trzeba będzie dzisiaj zajrzeć do pani Saczyńskiej, sprawdzić cenę.

Cholera! mruknął we wąsy pan Stanisław, przystając u przystanka tramwajowego — na jutro musi mieć jeszcze luźnych parę setek, trzeba będzie spoić Kurta, musi przecież wydębić od niego to pozwolenie na przewóz mebli z ulicy Potockiego. Tak! — ten garnitur z kaukazkiego dębu od Nossigów aż pachnie kilkoma tysiączkami. Żeby tylko Karczyński mi w to nie wlazł. Wstrząsnął się i sapnął zjadliwie aż przerażony tramwaj przyspieszył biegu i podjechał usłużnymi schodkami wprost pod gniew i sapnięcie. Czerwony kolor wozu podziałał inaczej we Lwowie niż w Sewilli. Pan Stanisław ochłonął. Poza tym miał przecież stosunki wśród brązowych kołnierzy a Karczyński był wychrztą. Pan Stanisław poprawił się na siedzeniu i gdyby umiał, byłby się pomodlił za nieznanego ojca Karczyńskiego. W tramwaju było wygodnie, zwłaszcza, że w przedziale „nur für Deutsche" był ścisk: za rzemienną granicą kilka popielatych „Blitzmädel" usiłowało nie tracić godności osobistej między komiśnymi kolanami wojaków z Bawarii. Tramwaj trząsł, postukiwał drobno, dzwonił — stawał i znów ruszał. Po wnętrzu zataczały się wybuchy śmiechu u przodu wozu, gęste dymy ćmionych papierosów i fajek — owijały się o pasażerów zawieszonych w rozkołysanym przejściu jak ogromne nietoperze na strychu stodoły podczas burzy.

W tej epileptycznej atmosferze wnętrza, atmosferze tramwaju, knajpy, sklepu, prywatnego domu — dojrzewała i krzepła w beton mdła dotychczas i bezbarwna — psychika pana Stanisława. Horyzontu jej strzegły obowiązkowo: mundury (ich kolor i naszywki były oczywiście nieważne). W istocie o ileż ważniejsze były tu buty, te buty, które prawie zawsze szły dalej, jak poza horyzont dostrzeżeń pana Stanisława, którego rola polegała przecież na pozostawaniu na miejscu.

W tym momencie rozważań wysiadła z tramwaju większa część żołnierzy a z nimi i sam pan Stanisław, nie tylko dla przyjemności i dalszej afirmacji swoich poczynań, ile dla rzeczywistej potrzeby. Czerwona metafizyka odjechała z brzękiem w kierunku dworca kolejowego. Z panem Stanisławem pozostał tylko pogodny wieczór jesienny i mechanika dalszych, zresztą już przewidzianych w ciągu dnia wydarzeń. Żołnierze znikli naprawdę. Pan Stanisław zerknął z przyzwyczajenia na pogodne, wrześniowe niebo. Odpowiedziało gwiazdami i możliwością nocnego nalotu. To nie poprawiało humoru. Przy jednej z ostatnich kamienic ulicy Lenartowicza, przystanął, spojrzał z głęboką niechęcią, na kamienny schodek, na który trzeba było również wejść i pchnął ciężką, żelazną bramę. Na górze u Saczyńskich pewnie trzeba będzie wysłuchać litanii skarg i próśb, których zresztą z zasady jak i nikomu innemu nie wypełniał. Ale wysłuchać musiał. To wliczone było do ceny każdej tranzakcji, a pan Stanisław nie znał litości ale umiał liczyć. Aktualnie chodziło o cenę jedwabnych pończoch i o, być może, parę jeszcze kalkulacyj.

Drugą i właściwą przyczyną wzrastającej ciągle, choć zimnej niechęci pana Stanisława był wuj Krystian. Krewny Saczyńskiej — wysoki, siwy pan — dostojny mimo tureckiego wytartego szlafroka, podkreślał w nieuchwytny a przecież bardzo wyczuwalny sposób atmosferę obcości, w której miał walczyć pan Stanisław. W okularach na wydatnym nosie, z nieodstępną, małą, w skórę oprawną książeczką w ręce, patronował wuj Krystian wszystkim bataliom rodziny Saczyńskich z książętami mebli, diukami sacharyny i kondotierami garniturów żydowskich. — Ba! — i nie tylko patronował ale i wygrywał. Nierzadko, w toku najostrzejszych targów, pojawienie się jego chudej, nieco przygarbionej postaci, która przesuwała się bezszelestnie przez pokój, pełen obcych ludzi, z oczyma nieodmiennie utkwionymi w małej książeczce — ścinało i tonowało nie tylko odgłosy walki ale i jej wynik. Cyfry zdradzały przybyłych i przechodziły na stronę gospodarzy. Saczyńscy opanowywali pole. Nic tedy dziwnego, że w podobnej atmosferze, nieco innej niż dotychczasowa, pan Stanisław tracił nie raz grunt pod nogami. Odzyskiwał go coprawda natychmiast, ale sam fakt naruszania przez kogoś tego kręgu wydarzeń, który z takim trudem zmontował koło siebie przy pomocy wojny i jej łaskawym współudziale — sam ten fakt był niepokojący. Wuj Krystian dokuczał przejmująco i niekonsekwentnie jak nocna newralgia. Pan Stanisław jak przystało na prawdziwego poszukiwacza złota (a handlował przede wszystkim złotem) byłby dawno machnął ręką na te ogłupiające historie, ale po pierwsze Saczyńscy przydali mu się kilka razy naprawdę przy kilku większych tranzakcjach (pończochy były w stosunku do tego najwyżej udanym żartem) a po drugie —

Po drugie — co tu dużo mówić — pan Stanisław jako rasowy gracz, uświadamiając sobie jasno swe drobne porażki — ponoszone za sprawą niepojętej magii wuja Krystiana — czekał na swój wielki dzień Na dzień swego odwetu. Oczywiście najprościej byłoby wykorzystać swe stosunki z zielonymi mundurami. Zachodziła tutaj tylko jedna trudność. Otóż mogli wprawdzie przepaść Saczyńscy, ale wuj Krystian mógł sam jeden wyjść z tego cało. Jemu jednemu nie można było niczego zarzucić. Właśnie jemu jednemu. Trzeba było uderzyć bezpośrednio. Rozszarpać ten dziwaczny, brunatny szlafrok, złamać i pognębić tę siwą wyniosłość, zajrzeć raz bez litości, po chamsku w te oczy żyjące za okularami. Wyrwać ze starczych wychudłych rąk, małą książeczkę w brązowej skórze.

Książeczkę w brązowej skórze. Co też może ona zawierać: przepowiednie, zaklęcia. A może podręcznik dobrego tonu. Dalej trudno było panu Stanisławowi zgadywać. W stosunku do wszelkiego rodzaju książek czuł się zawsze, przez całe życie jakoś „na progu". Tu już zaczynał się grunt wuja Krystiana. — Pan Stanisław w ciągu całej mozolnej, samotnej dwupiętrowej wędrówki — dokąd z niejakim trudem wydźwigał swą nienawiść — wykombinował wreszcie wyjście.

Książka! Tak — to jest to i nie może być inaczej.

Tym razem sięgnął do dzwonka z przeczuciem bezapelacyjnego zwycięstwa.

— — — — — — — — —

.... Batalia u Saczyńskich miała się ku końcowi. Pani domu, wysoka, z lekka siwiejąca blondynowatość — usiłowała już tylko ratować pozory. Byłaby znacznie bardziej na miejscu kilkadziesiąt lat temu, gdyby mogła obnosić jakikolwiek mężowski tytuł między salonikiem z zakurzonymi portierami i „wspomnieniami z Karlsbadu" a stadem przekwitających córek, dygających kulawym rzędem na przyjęcie gości w anglezach z wysokimi kołnierzami na tradycyjnych środowych wieczorach pod roztargnioną aprobatą matczynych pince-nez. — Obecny jej anachronizm nie dziwił nikogo, bo nie były to momenty sposobne do wyrażania jakichkolwiek uczuć, te pośpieszne zadyszane dni, nie zrywane nawet z kalendarzy pod straszliwym naciskiem narastającej, spiętrzonej epiki wydarzeń.

I w obecnej, jak w dotychczasowych — dyskusji — ważniejsze były raczej argumenty przyszłe, te które dopiero miały być użyte, od tych, które już padły, a padłszy — przestawały istnieć. Daleka współczesność patronowała tej całej bezcelowej hojności słów. I jak wszędzie w tej chwili, tak i tu: trwoniono siebie. A nawet przy głośniejszych i równoczesnych okrzykach — szyby w oknach zaczynały tak samo dzwonić.

Pan Stanisław jednak — bardziej niż zwykle panował nad sytuacją i siebie nie trwonił. Stał jak skała, nieco ordynarnie rozkraczony pośrodku niewielkiego pokoju „dla gości" Saczyńskich i referował zwycięsko już trzecią z kolei sprawę. Pierwsze dwie załatwione jak można najlepiej, były już wczorajsze, klasyczne i mogły przejść do historii handlu (rozdział nielegalne pośrednictwo — ustęp: wzrost cen metali szlachetnych, podczas wojny).

Pobite pokolenie Saczyńskich (dwie nieważne córki i piętnastoletni wyrostek w gimnazjalnym mundurku) było już tylko tłem. Pani domu będzie za chwilę dopiero potrzebna, w danej chwili była siwa i koło okna. Reszta handlarzy — ludzie obcy — wchodziła i wychodziła z mieszkania Saczyńskich w rytmie improwizacji pana Stanisława. Otrząsali się dopiero na schodach, wrażliwsi — dopiero na ulicy. Pokój zaś był błękitny od dymu i triumfu.

A wuj Krystian?

Otóż to! Wuj Krystian w ogóle nie wyszedł. Drzwi od jego pokoju były cały czas zamknięte, pod strażą nieugiętej klamki i takiego samego spojrzenia pana Stanisława. Zresztą był i pewien odcień goryczy w tej nieugiętości: oto wuj Krystian czuł się dzisiaj niezdrów. Właśnie dzisiaj! I pan Stanisław nie wiedział czy tak jest lepiej czy gorzej, poprostu nie mógł się zdecydować na nastrój. I to była ta odrobina goryczy w łakomym smakowaniu teraźniejszości.

Pozostawała jeszcze sprawa książeczki w brązowej skórze. To było jądrem wydarzeń. Pan Stanisław nie zapomniał ani przez chwilę o tym. Była to jedyna broń w ręku niewidzialnego dzisiaj wroga, która mogła jeszcze naruszyć ustalony stan rzeczy i wydrzeć owoce niełatwego zwycięstwa z rąk triumfatora. Magia tej brązowej, małej rzeczy, mogła jeszcze przerosnąć rzeczywistość, jedyny żywioł, w którym pan Stanisław czuł się pewnie. Od pierwszej chwili, od momentu w którym sięgnął do dzwonka mieszkania Saczyńskich — wiedział doskonale, że bez tej książeczki nie wyjdzie spokojnie. Nie wiedział co ona zawierała, nie miał najmniejszego pojęcia co kryły w sobie, te zadrukowane karty, ale całą siłą swej prymitywnej natury, całym zabobonnym wnętrzem swej mieszczańskiej duszy zapragnął tej straszliwej, wyimaginowanej broni, z którą w dzień a pewnie i w nocy nie rozstawał się tamten. W jakimś nieprawdopodobnym zaułku swoich mglistych przeczuwań (wyobraźni nie miał) wyhołubił ze straszliwym, tępym uporem zatrutą myśl o wrogim starcu, zamawiającym ludzkie, proste sprawy, czarnoksięskimi słowami, wyłuskiwanymi wprost z małej książeczki, z którą się nigdy nie rozstawał.

Że zaklęcia te były skierowane przeciw niemu, pan Stanisław nie wątpił ani przez chwilę. Krótkie, ukośne spojrzenia wyniosłego starca, przechodzącego przez pokój w ciężkim i nagle zapadłym milczeniu — spojrzenie obezwładniające i przejmujące chłodem, utykały zawsze i nieodmiennie na nim. Cała magia nieprzewidzianych możliwości, płynąca potężnym strumieniem od brunatnego szlafroka, padała misternymi skrętami tylko na niego — na pana Stanisława. To było jasne i przed tym trzeba było się bronić, lub przejść jak najprędzej do ataku.

I ta właśnie myśl leżała u podstaw wszystkich minionych sekund, minut i godzin wrześniowego wieczoru w małym,

[1]) Wyjęto z przygotowanego do druku tomu pt. „Ludzie przed jutrem".

Pearl S. Buck

Odkrywam Amerykę

W serii tłumaczeń z literatury światowej essay Pearl S. Buck, znanej pisarki, laureatki Nobla, na temat charakteru i istoty Ameryki i Amerykanów. Nasze spojrzenie na Amerykę może być trochę inne, nie mniej essay Pearl S. Buck odkrywa Amerykę taką, jakiej dotąd nie wyczuwaliśmy zbyt jasno.

Jestem Amerykanką, choć życie moje spędziłam z daleka od Ameryki. Przybyłam zaś tutaj jako przybysz między przybyszami, z tą tylko różnicą, że wróciłam do swojej własnej ojczyzny. Wszystko jednak objawiło mi się jako nowość, jak podróżniczce ze Szwecji albo z Italii, albo może z Grecji. Przed dotknięciem stopami stałego lądu nie zdawałam sobie sprawy z tego, co mnie czeka.

My, przybysze, mamy urobione wewnętrzne wyobrażenie o tej Ameryce. Jest to wyobrażenie piękne ono musi być piękne, inaczej bowiem nie bylibyśmy tutaj. Albowiem nie lubimy opuszczać znanego świata, jeżeli nie mamy nadziei na piękniejszy. Naturalnie, jest wielu takich, co liczy na lepsze życie, na pieniądze, na wyższą kulturę. Inni wyczuwają potrzebę przestrzeni. Jeszcze inni znaleźli się tutaj w poszukiwaniu wolności, by myślom móc wodze swobodnie puścić i nie czuć więzów rodziny i tradycji. Są i tacy, co w takim samym celu przybyli, w jakim ja przybyłam. Po prostu po to, aby wrócić do domu. Ci nigdy nie wiedzieli, co to jest ojczyzna. Pędzili swe życie między obcymi ludźmi, mówili obcym językiem i szli obcymi drogami. Wszystkich zaś nas łączy to, żeśmy przybyli do wyśnionej Ameryki.

Kiedy tu przybyłam, pierwszym moim wysiłkiem było samo rozpoznanie mojej ojczyzny. Rozglądnęłam się za Amerykanami. Daremnie szukałam, żadnych spotkać nie mogłam. Zdawało mi się, jakoby tu byli sami cudzi. Zastałam co prawda ludzi miłych, albowiem wróciłam wśród okoliczności, o których można powiedzieć, że były cudowne — dokonałam prac, które mi radość sprawiły. Ludzie ci byli dla mnie nieskończenie dobrzy, ale wydawali mi się być tacy sami, jak Anglicy albo Europejczycy. Zadawałam sobie pytanie: gdzież u licha są ci Amerykanie? Było to dziwne, ustawicznie pytałam sama siebie: Gdzie też znajdę prawdziwego Amerykanina? Lecz ku mojemu zdumieniu odpowiadał mi każdy napotkany to samo, że mianowicie on, we własnej osobie jest Amerykaninem, że jego przodkowie i matki gdzieś przed rewolucją albo przed wojną domową albo w ogóle w którymś tam czasie osiedlili się tutaj i że właśnie on jest typowym Amerykaninem, jeśli w ogóle o takich mówić można. Ponieważ zaś z odpowiedzią tą spotkałam się kilkakroć, sięgnęłam po książkę jedną i drugą, i przeczytałam wszystkie książki, o których krytycy mówią, że są amerykańskie. Ale książki jeszcze bardziej różniły się między sobą, aniżeli ludzie. Sprawiały wrażenie, jak gdyby były pisane w całkim innych krajach i pośród innych ludów.

Oto są mieszkańcy nowego lądu i oto jest owe sławne miasto, Nowy Jork, które aż po brzegi napełniają stłoczeni ludzie, a wszyscy oni w różnych stronach urodzili się, lecz pomimo to są zawziętymi Nowojorczykami. Żyję obecnie w pewnej miejscowości w stanie Pensylwania, która równie dobrze mogła by być jakimś zakątkiem Europy, tak wiele ma bowiem z Europy.

Odbywam w Ameryce podróż w kierunku południowym. Jest rzeczą znamienną, że przyjechawszy na południe, nie mogę zużytkować nic z tego, czego nauczyłam się na północy. Tam zaś, gdzie rozciąga się zachód, żyją znowu inni ludzie, o których zdawać by się mogło, że wcale nie są Amerykanami, a jednak wszystko to są Amerykanie.

I tak w moim poszukiwaniu cofnęłam się całkiem wstecz, aż do samego początku. Doszłam do wniosku, że my, Amerykanie, jesteśmy wszyscy przybyszami w naszej ojczyźnie. Nikt z nas nie jest tu rodowity. Każdy mieszkaniec Stanów Zjednoczonych, albo sam skąd inąd pochodzi, albo ród swój skąd inąd wywodzi. Wydaje mi się śmiesznością, gdy widzę, kiedy jeden człowiek na drugiego patrzy z góry, dlatego tylko, że ten co dopiero przyszedł. Cóż bowiem stanowi sto lub dwieście lat w życiu narodu? Kiedy patrzę na swój naród, to widzę w nim wszystkie zróżniczkowania, jakie istnieją na świecie i które wynikły z odmian rasy, kultury i wyznania. Jedną cechę wszakże posiadają Amerykanie.

przyciemnionym pokoju państwa Saczyńskich, w tej wojennej, lwowskiej jesieni.

Tak więc z przyczyn osobistych — kończył z mocą, chropawym głosem pan Stanisław — decyduję się odstąpić państwu zysk z całej tej jutrzejszej historii plus procent prowizji, wypłaconej już przezemnie. Będzie tego dość dużo — dodał ze spokojnym chamstwem — około 2000 złp., ale poproszę za to o tę książkę — potrzebna mi jest dla mego przyjaciela, który — zawahał się — studiuje, — tak — filozofię.

Ależ, przecież — wtrąciła przeraźliwym szeptem pani domu — przecież, my, pan niewiemy nawet, co to za książka, a poza tym wuj Krystian... — Wuj Krystian jest chory i czytać nie powinien — rąbnął bezapelacyjnie pan Stanisław — a poza tym, dorzucił przezornie w stronę zamkniętych drzwi — poza tym można mu kupić inną książkę. Jutro — dokończył z logiką spadającego topora — dwa tysiące leżą na stole. Przy tych słowach wskazał na stół takim gestem, że oczy wszystkich obecnych spoczęły na nieodłącznej kapie z wytartego aksamitu, na której samotniała „chińska" popielniczka z ogromną stertą niedopałków. Tuż obok niej, o parę centymetrów leżała najwyraźniej w świecie gruba wiązka banknotów, stanowczo za wielka do handlarskich możliwości przeciętnego dziennego udoju w najświetniejszych dniach domu Saczyńskich.

Słowo pana Stanisława leżało na stole. On sam odwrócił powoli swą ogromną, nieco sinawą twarz od stołu i położył ciężko oczy na drzwiach do pokoju chorego. Gest był bardzo wymowny.

W przydługiej ciszy szept pani Saczyńskiej nabrał niespodziewanej mocy, tak, że zagadnięty młodzian w gimnazjalnym mundurku wpierw się wzdrygnął nim zrozumiał.

Idź — Zbysiu do pokoju dziadzi — i przynieś tę książkę, leży na stoliku nocnym — powtórzyła polecenie pani domu.

Chłopak zamrugał szybko rzęsami, spojrzał bezradnie na matkę, później na siostry, skulone w kącie jak dwa kanarki na drążku. Na pana Stanisława nie popatrzył wcale, wiedział aż za dobrze co spotka. — Ociągając się, ruszył ku drzwiom. Nagle zatrzymał się i z ledwie dostrzegalnym tonikiem nadziei spytał: A jak, dziadzio nie śpi? — Masz przynieść książkę — reżyserował bezlitosny głos z nad stołu — a nie pytać i kombinować. — Ta idź już Zbysieńku, nie marudź! — zaśpiewała miękko matka. Zadecydował właśnie ten ton a nie co innego. Chłopak, połykając kilkakrotnie ślinę, podszedł na palcach do zamkniętych drzwi: położył rękę na klamce. Lekki skrzyp pożeglował przez ciszę na równoczesnym westchnieniu z pięciu piersi. Przez niewielką szparę wątły chłopak wślizgnął się do następnego pokoju. Minęło kilka sekund, kilkanaście, minuta — podłużna szpara w drzwiach była czarna i straszna jak murzyn z nożem. — Jeszcze minuta. — Nareszcie!

Chłopak wyniknął z ciemności. Był blady i czuły. Z niesłychanym wdziękiem chłopięcej miłości przymknął za sobą drzwi. Podszedł do matki i podał jej książkę. — Dziadzio śpi! — powiedział jakimś zdumiewającym, nieprawdziwym falsetem. Dopiero w tym momencie wszyscy zdali sobie sprawę, że przez ten cały czas stali na palcach, wychyleni w kierunku cierpkiej, rodzinnej zdrady.

Oto była książka — prawdziwa nagroda pilności — małe, obdarte chuchro w brązowej, skórzanej okładce. I oto palce pana Stanisława — o dziwo — nieczuły niczego. Żadnego, ale to żadnego wzruszenia, błądząc po szorstkich, żółtymi plamami starości upstrzonych stronicach. Tak więc oto wyglądał zaklęty zamek wroga. Hm!

Niecierpliwie odszukał tytuł. Wydrukowany był czarno-czerwoną linią, ale pan Stanisław nie czytał Stendhala — pozatem nie rozumiał i samego tytułu: „Germania sive de vita, moribus et populis Germaniae". — Autor jakoś mało znany: P. C. Tacyt! Zajrzał jeszcze raz do środka, na marginesach dużo odręcznych notatek, pisanych nieco drżącym ołówkiem. Słowo „Germania" było stale podkreślone, ale to, pana Stanisława nie zdziwiło. Na ulicy działo się przecież w tej chwili to samo. I gdzież tu magia?

No, trzeba iść — wstrząsnął się i nie żegnając się z nikim (dość dużo zapłacił za to) — wyszedł. Za zamkniętymi drzwiami zostało kilkoro ludzi, nieco pieniędzy i dość połamanej psychologii, by resztę wieczoru rodzinnego uczynić interesującą.

Pan Stanisław powoli zeszedł ze schodów, wyszedł na pustą już ulicę (było po 10-tej) i zerknął po staremu na niebo. Stwierdził bez zdziwienia, że w międzyczasie się zachmurzyło. Od strony remizy zazgrzytał jakiś tramwaj. Zaczął schodzić ku temu zgrzytowi, ulicą Lenartowicza. To było jedyne realne i konkretne wrażenie, które mu się w tej chwili nasunęło. Doszedłszy do narożnej willi otoczonej ogrodem i niskim murem, pan Stanisław wsunął rękę do kieszeni płaszcza i wyciągnął z niej książkę w skórzanej oprawie. Potem rozglądnąwszy się po milknącej ulicy, cisnął ją prostym i krótkim gestem poprzez ogrodowy mur.

Coś w rodzaju uśmiechu przesunęło mu się przez usta, ale wygląd tego uśmiechu musi pozostać nieznany, ze względu na panujące ciemności.

Potem wyprostował się, podniósł kołnierz płaszcza i ruszył w kierunku śródmieścia. Echo dłuższą chwilę powtarzało coraz cichsze kroki. Potem i ono umilkło.

Lwów, 1943.

Ścieżka na wielką drogę

Ukazały się pamiętniki prof. U. J. Stanisława Pigonia p. t. „Z Komborni w świat" *). Pomysł pamiętników zrodził się w czasie okupacji, kiedy to autor wraz z innymi profesorami Uniwersytetu Jagiellońskiego odprawił we Wrocławiu „przymusowe rekolekcje" — jako więzień Gestapo. Przykre wieczory urozmaicali sobie uczeni opowiadaniem swoich przeżyć. Chodziło głównie o podkreślenie kształtowania się zamiłowań naukowych. Jeden z takich wieczorów wypełnił właśnie autor. Po powrocie z obozu koncentracyjnego wspomnienia te autor spisał.

Celem autora było zilustrowanie procesu społecznego, jakim jest tworzenie się inteligencji chłopskiej, a także zanotowanie zanikających form bytowania dawnej wsi polskiej.

Ścieżka na wielką drogę nauki nie była dla chłopca wiejskiego ani łatwa, ani prosta. Lecz autor z właściwą sobie skromnością nie widzi na swojej drodze nic wyjątkowego: „Ścieżkę tę nie sam jeden przebyłem. Przede mną i za mną wspinały się po niej i wspinać będą tysiące wyrostków, których los w takim jak mnie umieścił położeniu socjalnym. Moja ścieżka ani była lepsza ani wiele gorsza od tych tysięcy".

Pierwszy rozdział książki jest poświęcony wsi rodzinnej. Kombornia leży w powiecie krośnieńskim na zachodnim pograniczu byłego województwa lwowskiego. Ziemia to śliczna, położona na przeciw przełęczy dukielskiej, przez którą wieją ciepłe wiatry z Węgier, pozwalając na uprawę winogron. Ziemia to rodząca talenty: co drugi chłop czy dziewczyna maluje, rzeźbi, gra, śpiewa. Pęd do kształcenia jest ogromny, szacunek dla oświaty ogromny.

*) Stanisław Pigoń: „Z Komborni w świat". Kraków 1946. Spółdzielnia Wydawnicza „Wieś".

Autor opisuje ciekawą postać starego chłopa, u którego ten szacunek miał formy po prostu religijne. A były to czasy (schyłek XIX w.), kiedy ani dwór, ani plebania, ani szkoła, ani działacze polityczni nie troszczyli się zbytnio o zapadłą wieś polską. Chłopski syn przedzierał się sam z dymnej izby w szeroki świat. Coś więc musiało być bardzo silnego w psychice wsi, skoro wydała ona specjalnie wartościowy typ inteligenta polskiego. Te specjalne wartości wsi nie są oczywiście typowe, nie jest to jednak winą chłopa. Skarży się autor „Nie łatwo przerobić chudą rędzinę na urodzajny czarnoziem, niemniej trzeba, chcąc mieć plony. Jeżeli zaś o rędzinę duchowości chłopskiej chodzi — któż w Polsce na serio się o nią zakłopotał? Do honornej iście chłopskości trzeba chłopa wychować. Któż o tym wychowaniu uczciwie myśli?" Jak istniał dawniej ideał honoru szlacheckiego, tak istnieć będzie honor chłopski. Stanowić go będzie rzetelność, solidność, wierność obowiązkowi. Te to cechy wyprą kompleks niższości, spowodowany poniżającym traktowaniem chłopa przez inne warstwy społeczeństwa. Chłop musi mieć przeświadczenie, że ci, co wyszli z ludu, nie tylko nie wstydzą się swojego pochodzenia, lecz chlubią się nim.

Najpiękniejszym rozdziałem książki jest rozdział II: „Mój dom". Wspomnienia o domu rodzinnym, o codziennych zajęciach, o rodzicach i rodzeństwie przepełnione są szczerym, bezpośrednim sentymentem i głębokim liryzmem. We wzruszający, a prosty sposób podkreślona jest zasługa matki-wieśniaczki, która nadawała życiu duchowemu w domu głębszy ton, która sprawiła, że w biednej chłopskiej chacie książka i gazeta nie były rzadkością, a zamiłowanie do czytania przekazała dzieciom. Niczym to było dla takiej matki milami dźwigać tobołki z bielizną i jedzeniem do miasta, gdzie kształcił się syn. Jeśliby ktoś pisał kiedyś historię wrastania synów chłopskich w inteligencję, winienby, zdaniem autora, w najwymowniejszych słowach opisać ten wspaniały trud. „Pamiętam — pisze autor — jak raz w wyższych już będąc klasach, gdym wracał ze szkoły, zastałem przed mieszkaniem na progu domu spoczywającą utrudzoną matkę. Doznałem wtedy tak silnego wzruszenia, że aż pokusiłem się nadać mu wyraz poetycki".

Ciekawe są karty poświęcone ojcu, który przedstawia nie rzadki u nas na wsi typ wszechstronnie uzdolnionego samouka o „złotych rękach", które wszystko potrafią wykonać.

Rozdział III: „Lata szkolne" daje nam smutny obraz stosunków w galicyjskim gimnazjum. Kompletne zaniedbanie wychowawczych zadań szkoły szło w parze z nieuctwem nauczycieli i ich brakiem serca dla uczniów. Brak burs i internatów dla młodzieży i przerażające stosunki na prywatnych stancjach zdumiewają nas dzisiaj.

Z rozdziału: „Na uniwersytecie" należy zanotować trudności, z jakimi walczył ówczesny student humanistyki. Dziś nie mamy o nich pojęcia. Młody adept humanistyki dostaje się pod opiekę asystentów, ma do dyspozycji bibliotekę seminarialną, przechodzi przez różne ćwiczenia, proseminaria i seminaria, ażeby wreszcie samodzielnie móc pracować naukowo.

Przy czytaniu pamiętnika prof. Pigonia należałoby jeszcze zwrócić uwagę na wspomnienia poświęcone pracy w kole „Eleusis", stowarzyszeniu przypominającym trochę filomatów, a założonym przez Wincentego Lutosławskiego. Czytelnika ślą skiego zainteresuje niewątpliwie ruch eleuzyjski na Górnym Śląsku. I tu powstały koła. Śląscy górnicy przyjeżdżali do Krakowa, a studenci krakowscy przekradali się przez granice przenosząc pod modną wówczas peleryną polskie książki. Podnosiło to uświadomienie narodowe wśród prostego ludu śląskiego. Wzruszający moment wspomina autor z racji recytowania „Switezianki" Mickiewicza przez młodego chłopaka z Zabrza.

Wędrując po Śląsku poznał autor szarych szeregowców polskości. Jedna zwłaszcza prosta kobieta utkwiła mu w pamięci przez swoją moc świadomości narodowej i uporu narodowego. Podkreśla autor wielkie zaciekawienie ludu śląskiego dla problemów metafizycznych. Rys ten zdaniem jego nigdzie w środowisku ludowym nie występuje w stopniu tak wysokim. A przecież powierzchowni obserwatorzy często zarzucają Ślązakowi jedynie praktyczne zainteresowania!

Działacze polityczni zarzucali młodzieży eleuzyjskiej, że praca nad charakterem jest niepotrzebną stratą czasu, gdy są ważniejsze problemy. Na jednym z zebrań zabrał głos Roman Dmowski, podkreślając ten fakt:

— Musimy dom budować, przygotować państwo polskie. Nie czas zajmować się wzbogaceniem i wysubtelnianiem życia wewnętrznego jednostek.

Na to odezwał się górnik westfalski, członek stowarzyszenia:

— Że dom budować trzeba co rychlej, to my wiemy. Ale cóż to za dom stanie i na jak długo, gdy się użyje do niego źle wypalonej cegły? My wypalamy cegły i chcielibyśmy, żeby jedna w drugą były foremne i odporne na wilgoć i mróz.

Taka ocena pracy nad kształtowaniem charakteru w ustach prostego robotnika jest znamienna dla tamtych czasów i ludzi.

Książkę Pigonia przeczytać można jednym tchem.

Halina Polkówna

---

nie wspólną i przez nią właśnie stali się Amerykanami: nie znają zmęczenia i odpoczynku.

My Amerykanie nie znamy wytchnienia, jesteśmy niezmęczonym narodem. I nie przybył do Ameryki nikt, kto by nie był tej wytrwałości symbolem. Tacy co lubią spokój serca, sybaryci i o łagodnym usposobieniu siedzą jeszcze na swych starych glebach, albo błądzą po wydeptanych ścieżkach własnych interesów. Nie ma ich wśród nas i żaden z nich do nas nie należy. Wyprowadził nas z ich środowiska jeden duch i w jedno skupił. Cudzoziemcy wyrażają się często ze zdumieniem o ruchliwości i nieustannej pracowitości, która jest pierwszą cechą usposobienia Amerykanina. Mnie to nie dziwi. Gdybyśmy z natury nie byli nieznużeni, nie bylibyśmy Amerykanami. Ani nie byłoby Ameryki, a Indianie koczowali by po dzień dzisiejszy po naszych górach i dolinach. Rezygnacja z odpoczynku stanowi całą treść naszej istoty.

Ale próg Ameryki przestępujemy nie tylko jako to niezmordowane „ja" i nic więcej. Zjawiamy się również jako rasa, jako naród, przynosimy ze sobą pewną przeszłość do tego kraju bez historii, gdzie tylko lasy i strumienie, góry i równiny i nieskończone wybrzeża i rzeki, które płyną do morza, posiadają przeszłość. Historią Ameryki jest to, co my jej jako naszą historię przynosimy. Czynnikiem kształtującym Amerykę jest ten, który nas ukształtował... Upłynie jeszcze dużo wody w korycie czasu, zanim zdołamy zapomnieć, żeśmy wyszli z Angli albo Irlandii, z Francji czy Italii. I nawet w tym wypadku wcale nie jestem pewna, czy my to w ogóle kiedykolwiek będziemy mogli zapomnieć. Uważam zresztą, że nawet powinniśmy pamiętać, a i w dzieciach naszych pamięć tę pielęgnować dopóty, dopóki nie wytworzymy w naszej formie narodowego życia i współżycia tych wartości, wynikłych z tradycji i sposobu myślenia, które mają wszelkie dane po temu, by naród wyznaczyć i poprowadzić. Krótko: do tego czasu, aż będziemy mieć amerykańską kulturę.

Nie możemy jednak stworzyć amerykańskiej kultury, jeżeli tylko siądziemy i będziemy rozmyślać, albo jeżeli coś na ten temat napiszemy i wydrukujemy w gazecie. Nikt i nic nie może jej stworzyć, jak tylko czas, ten czas, który pomijając wszystkie wartości nieistotne, przerasta wszystko co chwilowe i to wyłącznie zachowuje, co z owej walki o nową formę bytu wychodzi zwycięsko. Taki stan rzeczy może trwać jeszcze pięć tysięcy lat, w żadnym wypadku zaś mniej jak tysiąc lat, dopóki z tego chaosu wartości nie wyłoni się prawdziwie amerykańska kultura i dopóki nie rozwinie się amerykańska rasa. Wolno nam jednak wierzyć, że to będzie coś nadzwyczajnego, ten prawdziwy amerykański człowiek, czysty Amerykanin, który po pięciu tysiącach lat stanie na tym miejscu, gdzie ja teraz stoję. Uniesie on w sobie to wszystko, czego dotychczas nie podźwignęła żadna istota ludzka w takiej pełni: dziedzictwo wszystkich stuleci, wszystkich ras i kultur. Poniesie go to, co u nas nazywa się energią niespożytą, brakiem wytchnienia. Ta siła pędna, podsycana przez całe stulecia zaprowadzi go na te wyżyny ludzkiej istności, o których śnimy.

Wiem oczywiście bardzo dobrze o tym, że skoro tyle piszę o tej przyszłej Ameryce, o Ameryce po tysiącu albo po pięciu tysiącach lat, to nie jest to wcale po amerykańsku. Inni instynktownie myślą kategoriami pojęć odwiecznych i wiecznych, i widzą siebie samych wprzędzionych w tkaninę czasu, widzą siebie cząstką tego czasu. Amerykanin chętnie myślą naprzód wybiega, choćby o dwa pokolenia — do wnuka, wszystko jedno czy ten już żyje, czy dopiero ma się narodzić. To też należy do owej amerykańskiej, niespożytej siły. Nie możemy czekać i nie lubimy czekać, chociaż o tej prawdzie wiemy doskonale: prawdziwym planowaniem jest dalekie planowanie. Bo współczesność nie może być celem sama w sobie, ale musi być fundamentem przyszłości.

...W naszym zróżnicowaniu tkwi nasza pewność siebie. Proroctwa bywają niewdzięczne. Wierzę jednak, że kraj nasz, to coś jedynie pewnego w tym świecie na dzisiaj.

„...U nas kapitaliści są między robotnikami, a socjaliści i komuniści między milionerami, nasz prezydent może w równym stopniu być arystokratą, jak i pogrzutkiem, on będzie tylko od tego zależał, czy go kochamy. Wierzę w Amerykę taką, jaką posiadamy. Życzę sobie tylko mieć to przeświadczenie, że wszystko co posiadamy jest dobre i konieczne. Chociaż budowla naszego kraju opiera się na zróżnicowaniu i na wolności sumień, to uważam, że to właśnie jest główny pretekst do wspólnoty i wielkości.

Spolszczył Aleksander Widera

Zbigniew Zbroiński

Książka na Zachód

ALARM

Wiemy dobrze, że na Ziemiach Odzyskanych panuje głód słowa polskiego. Stan jest po prostu zastraszający. Z jednej strony mamy tu ludność autochtoniczną, dysponującą jedynie i to niezbyt często modlitewnikami w języku polskim. Hitleryzm postarał się, by z Ziem Zachodnich zniknął wszelki ślad słowa polskiego, książki polskiej. Piszący te słowa niejednokrotnie szukał wśród ludności autochtonicznej jakiegokolwiek drukowanego słowa polskiego — niestety bez wyniku. Z drugiej strony ludność napływowa — repatrianci i przesiedleńcy, zabrali ze sobą wszystko co uważali za potrzebne do życia i pracy w nowych warunkach, ale książki zostawiali jako uciążliwy balast; przecież ilość bagażu, jaki mogli zabrać było ograniczona, a zawsze znalazło się jeszcze coś potrzebniejszego do zabrania niż książka. Tylko nieliczni inteligenci zabrali ze sobą trochę książek.

Tak więc stoimy w obliczu zupełnego braku drukowanego słowa polskiego na naszym terenie. Jeżeli ten stan dłużej potrwa, może się okazać złowrogim w skutkach. Nie wolno przechodzić spokojnie obok tego problemu, który jest sprawą zasadniczą dla naszej polityki kulturalnej na Ziemiach Zachodnich i nie wolno tej sprawy odkładać.

Zanim, zgodnie z projektem „Programu kulturalnego dla Ziem Odzyskanych“ [1]) zostanie zorganizowana akcja wydawnicza jako podstawa „do stworzenia sieci bibliotek i czytelń zaopatrzonych zarówno w materiał czytelniczy dawny i nowy“ na bazie czasopisma nastawionego na potrzeby Ziem Odzyskanych, pracę należy zacząć już dziś.

CO ZROBIONO

Dzienniki katowickie mają charakter pism ogólnych i nie odpowiadają potrzebom mas ludowych. Pozatem kolportowane są przez „Czytelnika“ i docierają tylko tam, gdzie „Czytelnik“ ma swoje placówki, to znaczy do miast powiatowych, nie do wszystkich zresztą, a dochodzą tam nieregularnie. Na wieś nie dociera niemal nic. Od czasu do czasu, znów rzadko i nieregularnie pojawi się egzemplarz „Zagrody chłopskiej“. Od czasu do czasu PUR. rzuca w teren kilka tysięcy egzemplarzy pism centralnych i katowickich, uzyskanych darmo lecz przestarzałych. Tyle wszystkiego.

Jeszcze gorzej jest z książką; można ją dostać również tylko w ekspozyturze „Czytelnika“ lub jeszcze rzadziej „Książki“. Niestety nie koniec na tym; książka z powodu swej ceny jest dla przeciętnego śmiertelnika niedostępna. Pod tym względem nic się nie zmieniło od czasów przedwojennych. Możność nabycia książki jest nadal przywilejem zamożnych. Tanie są tylko aktualne broszury polityczne, z którymi też niełatwo spotkać się w terenie.

Najlepszym rozwiązaniem sprawy było by zorganizowanie w terenie sieci czytelni i wypożyczalni książek, co wymagało by oczywiście olbrzymich funduszów. Wypożyczalnie istnieją tylko w nielicznych większych miastach Śląska Opolskiego. Im dalej na zachód, tym większa pod tym względem martwota.

PISMO

Parokrotnie już poruszano konieczność uruchomienia na Śląsku popularnego pisma w rodzaju „Nowin Opolskich“. Niedawno PUR. zainicjował prace w kierunku stworzenia pisma, które zaspokajało by potrzeby zarówno autochtonów, jak i ludności napływowej, które stanowiło by doskonały czynnik repolonizacji i scementowania dwóch gromad ludzkich, jakie obecnie Śląsk zamieszkują. Wciągnięto do współpracy szereg instytucyj i organizacyj, opracowano plan i kosztorys pisma; niestety, z powodu rozlicznych trudności, w których niepoślednią rolę odegrała niemożność zdobycia potrzebnych funduszów nie doprowadzono do końca.

Sprawy książki nie rozwiąże ofiarność publiczna ani kilka wypożyczalni więcej. Należy stworzyć centralną Bibliotekę Śląską, dysponującą wielką ilością książek, bibliotekę, która celowo, planowo rozdzielała by książki w terenie, tak by nawet najbardziej odległe okolice były w nie zaopatrywane.

KSIĄŻKA

Zasadniczym więc problemem jest tutaj zdobycie większej ilości książek polskich bez asygnowania na ten cel wielkich funduszów. Problem ten na pozór beznadziejny, da się rozwiązać bardzo łatwo. Więcej, już jest rozwiązany, a wymaga tylko technicznego wykonania.

W dawnych województwach wschodnich, stanowiących dziś część Litewskiej SRR. oraz zachodnie obwody Białoruskiej i Ukraińskiej SSR., na terenie Wileńszczyzny, Nowogródczyzny, Polesia, Wołynia, województw Lwowskiego, Stanisławowskiego, Tarnopolskiego, a przede wszystkim w większych ośrodkach jak Wilno, Łuck, Równe, Tarnopol, Lwów, Stanisławów — pozostały masy książek polskich, które dla nas stanowią bezcenny skarb, a dla władz radzieckich przedstawiają poza nielicznymi wyjątkami tylko wartość makulatury. Część tych książek została zgromadzona przez oddziały Związku Patriotów Polskich i przez rejonowych pełnomocników Rządu dla spraw ewakuacji, a większość została porzucona przez wyjeżdżających repatriantów w mieszkaniach prywatnych, szkołach, klasztorach, wreszcie pewna ilość została w publicznych bibliotekach.

Zadaniem najzupełniej konkretnym i wykonalnym jest wydelegowanie do wymienionych ośrodków niewielkiej ekipy energicznych ludzi, którzy przy pomocy oddziałów ZPP. i pełnomocników Rządu zgromadzili by w większych ośrodkach porzucone książki wraz z poprzednio zabezpieczonymi, a dalej wydobyli by polskie książki z publicznych bibliotek. Tak zgromadzone zapasy książek możnaby załadować do wagonów wchodzących w skład transportów repatrianckich i przewieźć na teren Polski, ze skierowaniem danych wagonów do Katowic. Tutaj należy utworzyć zarząd Biblioteki, który zajmie się segregacją książek, katalogowaniem i przyprowadzeniem ich do stanu używalności bibliotecznej. Ponieważ tworzenie sieci stałych bibliotek w większych ośrodkach Opolszczyzny wymagałoby kosztownych adoptacyj i utrzymywania personelu, a poza tym nie gwarantowałoby zaopatrzenia w książkę szerokich mas chłopskich i robtoniczych, projektowana Biblioteka Śląska byłaby biblioteką objazdową. Kilka krytych samochodów, w których poczyniło by się niezbędne przeróbki (półki), kursowałoby po całej Opolszczyźnie bez przerwy, docierając wszędzie. Pierwsze trasy były by szczegółowo obmyślone, tak by książka dotarła najprzód do największych skupisk, a potem coraz głębiej w teren, tak by każdy Polak na Śląsku miał zawsze polską książkę. (Podobny projekt należało by zrealizować także w odniesieniu do Pomorza Zachodniego, Warmii i ziemi mazurskiej; projekt wymagałby wówczas pewnej, nie zasadniczej zresztą, przebudowy.

Minimalne opłaty pobierane tytułem abonamentu od licznych rzesz czytelniczych utworzyły by sumy, pozwalające na dalsze rozszerzanie biblioteki, tak w kierunku powiększenia ilości samochodów-bibliotek, jak przede wszystkim na zakupno cenniejszych wydawnictw przedwojennych i rozszerzenie asortymentu o odpowiednią ilość egzemplarzy wydawnictw nowych.

Projekt ten jest całkowicie realny i wykonalny. Powodzenie jego zależy w największej mierze od szybkości realizacji, a nie ma żadnych przeszkód, które usprawiedliwiały by jego odraczanie. Już jutro można rozpocząć prace, których wynikiem będzie rozpowszechnienie książki polskiej wśród ludności Śląska, ziemi pomorskiej i mazurskiej, w przeciągu paru miesięcy.

---

1) Por. artykuły Z. Hierowskiego w n-rach 1/45 i 4/46 „Odry“ i Zbyszka Bednorza: „Rozważania na pustyni“ w n-rze 8. „Odry“.

W Ameryce o Wincentym Witosie

Amerykańscy przyjaciele „chłopa z Wierzchosławic“, wydali z okazji 71-letniej rocznicy wodza ludu polskiego Wincentego Witosa, piękną ilustrowaną broszurę, która do Polski dotarła w krótki czas po zgonie tego wielkiego bojownika i bezkompromisowego szermierza praw suwerennych i społecznych chłopskiej Polski. Z dalekiego Chicago, recenzyjny egzemplarz broszury T. Walkowicza dotarł do redakcji „Odry“, aby stamtąd powędrować na Zaolzie do wsi Końskiej.

Dlaczego, recenzując wspomnianą książeczkę — wspominam Zaolzie i wieś Końską? Nie dlatego, aby kreślić może historyczne dzieje tej pięknej wsi, tak wspaniałe ongiś i tak niepojęte dzisiaj, ale aby przypomnieć, że właśnie z tą wioską śląską, gdzie chłop Oszelda rozpoczynał swe pierwsze chłopskie bunty przeciwko przemożnym uzurpatorom-panom i dziedzicom, łączyć miało za szereg lat dziesiątek, wodza chłopów całej Polski, wiele serdecznych więzów przyjaźni. Przyjaźń Wincentego Witosa z Zaolziem i Końską, datuje się jeszcze z tych czasów, kiedy „Austria światem rządziła“; przetrwała ta przyjaźń aż do dziejów pierwszej niepodległej Polski — wtenczas już Witos zajeżdżał do Cieszyna, „a chodził w wysokich butach i bez krawatki“ i tu przemawiał do polskich chłopów i robotników. Ale nie tylko wtedy trwała ta przyjaźń ze Śląskiem Cieszyńskim, gdy Witos dzierżył ster państwa polskiego w swych rękach... Bo nadszedł i taki czas, że musiał on z Polski uchodzić, że stał się, za swą otwartą prawdę i honor chłopski, człowiekiem wyjętym spod prawa. Było trzeba wtedy pokryjomu przekraść się przez granicę tego państwa, dla którego dobra, Wincenty Witos oddał bez wahań i targów politycznych — wszystko. I wtedy po przejściu granicy, pierwsze kroki, „wierzchosławickiego chłopa“ kierują się do zaolziańskiej wsi Końskiej przy Cieszynie. Tutaj Witos u swego przyjaciela-gazdy, znalazł pierwsze schronienie przed późniejszym czeskim Różnowem.

Dziwna i symboliczna była ta droga przyjaźni, bo dogorywując na swym łożu boleści w Krakowie, wódz chłopów polskich zapytywał wtenczas bardzo często, tuż przed swym zgonem: — jak tam w Końskiej? — co tam słychać nowego, co porabia przyjaciel-gazda?

Wincenty Witos był przyjacielem braci Czechów, ale nigdy jeśli chodzi o Zaolzie służebnik spraw swej ojczyzny i rzecznik wyłącznej polityki interesów polskich. Nic nie miał zdań kompromisowych i frymarycznych, bo znał dzieje tej ziemi i lud tej ziemi — więcej: wszedł w nią sercem, które czuło a sercu dyktował rozum sprawiedliwy osąd sprawy. Nie było łatwe to życie, ale też ten nadludzki trud, te ofiary i to rzadkie samozaparcie, aby służyć wyłącznie wielkiej sprawie ludu i Polski, nie było daremne!

Przypomnijmy tylko te pacholęce lata młodego chłopaka wiejskiego, te lata niesłychanej nędzy i głodu jakie panowały wtedy w ciemnych wsiach galicyjskich... o tym, żeby Wincenty Witos mógł uczęszczać normalnie do szkoły ludowej nie było mowy, bo to i ubrać w co się nie było i jedyną krowę - żywicielkę napaść było trzeba. Dopiero w dziewiątym roku życia, ojciec Witosa — posyła swego chłopaka do szkoły ale tylko na okres zimowy, bo z wiosną i w lecie trzeba w chałupie rąk do pracy — trzeba jakoś żyć, kiedy żyć nam dano. Młody Wincenty jest chłopakiem zdolnym; umysł bystry, otwarty, ale jak go kształcić dalej, kiedy środków na to kształcenie nie ma, kiedy często nie stać ich na rzecz najzwyklejszą... na codzienny, suchy chleb powszedni.

W tej trudnej, młodzieńczej jarudze swego życia, pracuje Wincenty Witos ze swoim ojcem cieślą w lasach ks. Sanguszków a w wolnych, kradzionych z uporem chwilach, nauczony czytać, kształci się sam dalej: z prymitywu chłopskiego rośnie i krzepnie późniejszy mąż stanu. Wiejski nauczyciel Marzec dostarcza młodemu samoukowi książek, później to samo robi powstaniec z 1863 roku, leśny dworski Jan Głowacki, jedyny — jak pisze Walkowicz, — świadomy człowiek we wsi i w okolicy w tym czasie. Ciemna, głucha wieś galicyjska, biedactwo chłopskie, ponury epos bytowania i to rwanie się naprzód i stawanie się przewodnikiem i przywódcą... Witos bez nauczycieli i szkół, staje się sam nauczycielem i szkołą, jako młody działacz społeczny, podsadza dynamit przez swą działalność pod ciemnotę, burzy ją i staje się promotorem społecznej i politycznej świadomości chłopstwa... polskiego ludu. To jest jego pierwsza, wielka narodowa zasługa, obojętne czy będziemy tutaj wspominali o jego wójtowaniu w rodzinnej wsi, czy o działalności w Stronnictwie Ludowym, w Sejmie Galicyjskim czy też o zorganizowaniu społecznego protestu, jakim było założenie nowego stronnictwa „Piast“.

Po tym okresie, Witos na widowni publicznej, występuje już nie tylko jako działacz, budziciel i poseł parlamentarny, ale równocześnie jako mąż stanu na miarę europejską. Za krótki dzieli nas odstęp czasu od jego śmierci, abyśmy mogli dostrzec te wszystkie symptomy i wytyczne jego działalności i jego działający kodeks polityczny na szali dziejów polskich.

Najmniej znany jest nam Witos z ostatnich dziesięciu lat, prawie nieznany wśród szerokiego społeczeństwa polskiego jest ten przemożny, indywidualny wpływ „prezesa“ wartującego pilnie, w ustawicznym czuwaniu przez pełnych sześć lat okupacji, które krótko określone, brzmią twardo: naród, niepodległość, Polska. Takie były posłania i rozkazy z Wierzchosławic, kiedy okupant dławił bezlitośnie każdą konspirację. Bo Witos przecież nie mógł inaczej postąpić, ten, który do chłopa polskiego przemawiał:

— Musicie baczyć, aby na waszych karkach nie szli do góry rozmaici puści, krzykliwi ludzie, którzy tak długo koło was tańcują, jak długo jesteście im potrzebni, a potem tyle się o was troszczą, co o sprzęt połamany... Jeżeli was ryk lada agitatora wyprowadzać będzie z równowagi, jeśli wami jak trzciną poruszać będzie wiatr każdej demagogii, to wy za wszystkie doświadczenia na waszym ciele dokonywane bardzo drogo zapłacicie.

Albo:

— Ile ziemi, tyle Ojczyzny, a ziemia najpewniejsza jest w rękach chłopa, w rękach ludu, który jedynie może ją utrzymać i potrafi obronić.

Broszura Walkowicza jest dobrym skrótem działalności Wincentego Witosa jako człowieka i polityka na przestrzeni dziejów polskich aż do roku 1936 a zarazem także dowodem wielkiego pietyzmu ze strony naszych rodaków w Ameryce. Skromna ta książeczka nie mogła się jednak stać monografią życia i dzieła. Napisanie takiej monografii o Wincentym Witosie jest rzeczą bardzo pożądaną i konieczną. Wiele jeszcze spraw — w szczególności ostatnie lata zaborczej okupacji, czekają na swego histryka i publicystę. I dopiero z tak pojętej monografii dowiedzielibyśmy się, kim był dla Polski nasz Abraham Lincoln — jak nazywa Witosa Walkowicz. Powiedzieć wtedy, że Witos był sumieniem dziejów Polski, stanowczo nie wystarczy. Był czymś więcej!

Paweł Kubisz

---

*) Leon T. Walkowicz: WINCENTY WITOS JAKO CZŁOWIEK I POLITYK — Chicago 1945 — str. 30. Nakład wydany przez przyjaciół amerykańskich „Chłopa z Wierzchosławic“. Drukiem „Dziennika Chicagowskiego“ 1455 W. Division St., Chicago. III.

„ODRY“ nie może braknąć w świetlicach całego kraju. — Numery jej to prawdziwa encyklopedia dziejów, życia i wiary polskiego Zachodu. — W administracji pisma jest do nabycia jeszcze pewna ilość roczników „ODRY“ po cenach zniżonych.

Sprawy teatru

Teatr Jeana Giraudoux

Wystawiona w Lodzi „Elektra“ Jeana Giraudoux była wielkim świętem współczesnego teatru polskiego. W związku z tym kreślimy sylwetkę tego pisarza.

Jedną z najcięższych strat, jakie poniosła kulturalna Francja w czasie tej wojny, jest śmierć Jana Giraudoux, zamordowanego przez Niemców w więzieniu.

Dla miłośnika współczesnej kultury teatr Giraudoux jest wielkim objawieniem. W nurcie współczesności, urabianej filozofią Bergsona, wspartą o podstawy intuicji, psychoanalizą Freuda, sięgającą w nasze stany podświadome, odruchy, impulsy, twórczością literacką Prousta, odkrywającego czar istnienia w światłocieniu wspomnień, w formie najdrobniejszego kwiatu, w grze i pełni każdej chwili przeżytej, malarskimi odkryciami impresjonistów, co nauczyli nas, że każdy moment żyje niepowtarzalną barwą i nastrojem, — brak było teatru, co wchłonąwszy w siebie smak i piękno swej epoki przetworzyłby je w nowe formy dramatyczne.

Giraudoux owe puste miejsce zapełnia w najdoskonalszy sposób, będąc zarówno estetą, poetą, człowiekiem współczesnym, błyskotliwym myślicielem, jak i dramaturgiem sięgającym w głębie życia i wydobywającym zeń nowe prawdy.

Giraudoux wpierw zdobył sobie sławę, jako autor nowel i powieści. W roku 1907 pierwsze jego dzieło pod tytułem „La Pharmacienne“ od razu zdobywa mu pewną popularność.

W Polsce znaną i czytywaną jest powieść p. t. „Bella“ tłum. w r. 1929, przedstawiająca antagonizm dwóch wielkich rodzin francuskich: rodziny Poincaré, której najwybitniejszym przedstawicielem był Rajmund Poincaré, rodziny Berthelot, która wydała słynnych uczonych.

Powieści Giraudoux mają specjalny charakter, są błyskotliwymi essayami, skrzącymi się od refleksów myślowych, pełnymi swoistego czaru.

Gdy jury debatujące nad przyznaniem nagrody Balzaca jednemu z powieściopisarzy francuskich, chciało odznaczyć Giraudoux za powieść pod tytułem. „Siegfried et le Limousin“, jeden z członków jury wysunął zarzut: „Ce n'est pas un roman, c'est un conte.“ Przyrównano Giraudoux do La Fontaine'a. Pomimo zarzutów, które zarówno można by pojmować jako pochwały, Giraudoux szybko zdobywa sławę, jako powieściopisarz. Wszyscy jednak są głęboko przekonani o tym, że jego styl pełen lekkości i finezji, przeskoki myślowe, żonglowanie dowcipem i sprawami zasadniczymi, nie nadaje się do teatru. A mimo to pierwszy utwór dramatyczny Giraudoux „Siegfried“ (1928 r.), zachowując wszystkie cechy dotychczasowej twórczości, zdobywa mu powiedzenie. Sztuki następne od razu spotykają się z wielkim aplauzem, zarówno publiczności, jak i krytyków. Są to: „Amfitrion trzydziesty ósmy“ (sztuka ta zawdzięcza swój tytuł niezwykłej erudycji autora, który obliczył, że na ten sam temat napisano przed nim trzydzieści siedem sztuk teatralnych, z Plautem i Molierem włącznie). Następnie „Judyta“, „Intermezzo“, „Wojna trojańska nie odbędzie się“, „Elektra“ i ostatnio „Ondyna“, której fragment drukowano w jedynym z numerów „Kuźnicy“.

Najłatwiej wyprowadzić Giraudoux z atmosfery Hotel de Rambouillet, twórczości Marivaux i Musseta, ma on wspólną z nimi subtelność, fantazję poetycką, finezję myśli i stylu. Czar poetycki przybliża go również do Shakespeare'a. Trzeba tylko dodać, że ową zwiewną subtelność Giraudoux wyraża w formie nawskroś nowoczesnej.

Postacie Giraudoux nie wygłaszają zdań, które byłyby pełną ekspozycją myśli autora, a zarazem odzwierciedlałyby przeżycia bohaterów całkowicie, bez reszty. W sztukach naturalistycznych widz czuje się, jak operator rozcinający płaty skóry, zaglądający do samego wnętrza bohaterów, a raczej do stylizowanej mapy przeżyć i myśli. Bohaterowie Giraudoux zaś są kierowani impulsem, lada błahy przedmiot, czy zdarzenie odwraca ich uwagę, zakłóca tok myśli. Bohaterowie Giraudoux rozmawiają ze sobą, tak jak ich myśli płyną i tu nasuwa się porównanie z Joyce'em. I właśnie dzięki temu rozpraszaniu myśli owe błahe przedmioty, błahe zdarzenia nabierają specjalnego znaczenia, urastają do wielkości symbolu. Giraudoux stwarza nową symbolikę.

Czuje się w jego teatrze także wyraźnie atmosferę Bergsona.

Giraudoux nie stara się o to, aby za pomocą powtórzeń i zaakcentowań nauczyć nas swojej myśli przewodniej, wygłosić przed słuchaczami swoje credo. Tak postępował teatr naturalistyczny, n. p. Zapolskiej. Giraudoux prawdy przez siebie odkryte rozpryskuje w tysiące migotliwych myśli, dowcipnych, lekkich, musujących, z których dopiero uważny słuchacz złoży mozaikę. Teatr Giraudoux jest teatrem nawskroś inteligentnym, pełnym delikatności i wdzięku. Giraudoux sam pisał o sobie:

— „Dowiodłem, że autorzy dramatyczni zbyt nisko szacowali publiczność, gdy uważali ją za niezdolną do zainteresowania się igraszkami umysłu, lub delikatnością języka. Sztuka komercjalna, jeżeli można zestawić te dwa wyrazy nie jest niczym więcej jak tylko przesądem, skazującym nasz dramat na miernotę. Twórzcie prawdziwą sztukę, a ujrzycie nadbiegających widzów, ucieszonych nowym posiłkiem duchowym, który im podano.“ —

Postaci Giraudoux podobnie zresztą jak i Musseta dzielą się na dwie grupy: jedne to istoty groteskowe, ludzie przyziemni swym rozsądkiem, racjonalizmem ślepi, tracący czar istotny życia, postacie traktowane z pogodą i żartobliwym wyrozumieniem, drugie to dzieci marzeń autora, istoty poetyczne, przed którymi otwarte jest całe piękno życia, ubarwione myślami i fantazją ich twórcy.

Wszystkie osoby w dramacie mają pozostawioną całą swobodę życia, reagowania; nie są związane żelazną pętlicą przesadzonej konsekwencji i konwenansu teatralnego. Bohaterowie czasem jakby bezpośrednio zwracają się do widzów, wciągają ich z sobą do akcji, nie tracąc w sobie realnej siły. Przeżywamy z bohaterami Giraudoux nie tylko ich życie, lecz z biegiem akcji dostrzegamy w nich daleko idący strumień ewolucji, asystujemy przy narodzinach człowieka świętego, czy też mordercy.

Giraudoux częstokroć czerpiący z mitów starożytnych tematykę swoich sztuk, powraca również i do wielu form antycznego teatru, lecz daje im nową postać. Znowu mamy opowiadanie na scenie, opisywanie wypadków, których na scenie nie widzimy, lecz opowiadanie staje się u Giraudoux z jednej strony dzięki wspaniałemu wyrazowi artystycznemu samym w sobie dziełem sztuki, zastanawiającym słuchacza, z drugiej wyrazem przeczuć wizji, wiążących wewnętrznym przeżyciem tego człowieka, który nam to opowiada z przebiegiem akcji.

Giraudoux daje nam jakby postać chóru, w osobie jednego człowieka, chóru, którego rola sprowadzała się do wyprowadzania z tragiczności wydarzeń ogólnoludzkich prawd, myśli i wskazań.

W „Elektrze“ jedna postać — żebrak wysnuwa te myśli w formie ciekawej i nowej, są to refleksje człowieka wszystkowiedzącego, mówione jakby w transie pijackim, odkrywcze, genialne, kierowane wiedzą o człowieku: „Jestem prostym człowiekiem i nie rozumiem słów ludzi, ja rozumiem samych ludzi“ — oto słowa żebraka i na tym właśnie polega jego zadanie, na wygłaszaniu prawd, wspartych o znajomość samego człowieka.

Giraudoux wprowadził znowu bogów na scenę, mitologię, starą tematykę grecką: „Miło jest myśleć o bogach i herosach i objawić w ich przygodach nowe prawdy etyczne.“

Mitologiczna treść „Elektry“ staje się pretekstem do wygłoszenia ciekawych prawd o życiu i mentalności człowieka.

„Ludzkość dzięki zdolności zapominania i lękowi przed komplikacjami wchłania w siebie najstraszliwsze zbrodnie, ale w każdej epoce rodzą się istoty czyste, które nie zgadzają się na to, aby te zbrodnie zostały wchłonięte i przeszkadzają w procesie wchłaniania środkami, które doprowadzają do nowych upadków i nieszczęść.“

W ten właśnie sposób Giraudoux ze starych mitów wyławia nowe prawdy etyczne.

Podnietą do napisania „Elektry“ była wojna domowa w Hiszpanii, lecz z czasem sam pieprzyk aktualności blednie i traci sens, a wartość dzieła pozostaje trwałą i niezniszczalną.

Ktoś powiedział o Giraudoux, że stworzył wodewil metafizyczny.

Giraudoux jest panteistą, ożywia swe światy bogami, żywiołami przyrody, jest artystą, który wchłania w siebie wszystkie czary tej ziemi: piękno przyrody, kultury, myśli ludzkiej, dowcipu, tragiczności, jest jednym z najbogatszych twórców współczesnego teatru.

Krystyna Sznerr

Teatr Ziemi Opolskiej

Na scenie Teatru Ziemi Opolskiej święci sukcesy kapitalna komedia Fredry: „Damy i Huzary“. Po „artystycznym balaganie“ w ckliwej „Trafice Pani Generałowej“, nowa ta, XXI premiera, wnosi na afisz Opola widowisko barwne, żywe i opracowane, — o doskonałym wyrazie groteski. — Reżyserował Wacław Scibor. — Perełki gry aktorsiej dali: świetna Irena Carnero (Aniela), Wanda Jerzmanowska (Orgonowa), Maria Bakka (Dyndalska), R. Radwan (Rotmistrz) i L. Stepaniak (w roli Grzesia). W pozostałych rolach: Szmar, Posiadłowski (Kapelan) i inni, godni uznania i wzmianki.

Z doskonałą farsą Fredry spotyka się na deskach tego teatru miła bluhostka muzyczna Jurandota: „Plecy“.

W inteligentnej reżyserii Zdanowicza, z udziałem Bolskiej, Nowiszówny, Orłowskiego i Herby, śpiewy, tańce, muzyka — i kilka dobrych akcentów komicznych, czynią z tej nijakiej tekstowo „kruszyny“ godzinę żywej rozrywki i spektakl cieszy się powodzeniem „kompletów“.

W przygotowaniu: „Cień“ Niccodemiego, z udziałem Marii Ursynówny z Katowic, — „Niespodzianka“ — i „Niebo bez gwiazd“ Radlińskiej, trzecia prapremiera Teatru w Opolu.

W. Hlouszek.

Kramsztyk: Z cyklu „Rysunki ghetta“. Wkładka artystyczna do tomu poezyj „Pieśni żałobne ghetta“ Stefanii Czajki, jaki w najbliższym czasie ukaże się na półkach księgarskich. Przedmowę do tego tomiku napisał Władysław Broniewski.

Dokumenty zbrodni

Michał Maksymilian Borwicz. „UNIWERSYTET ZBIRÓW“, Kraków 1945, str. 103.

Nieraz padały zarzuty, dlaczego Żydzi dają się tak łatwo zapędzić za druty, tak ulegle kładą głowy. Odpowiedzią było wstrząsające powstanie Ghetta Warszawskiego.

My, którzyśmy pracowali w latach walki w egzekutywie cywilnej, lub grupach terrorystycznych, czy wojskowych, wiemy ile trudu i ofiar kosztowało zdobycie tej odrobiny broni jaką dysponowaliśmy. Dla tego z podziwem musimy myśleć o dzielności, wytrwałości tych nieszczęsnych skazańców obozu zagłady we Lwowie, którzy wśród nieustannego katowania, pod grozą śmierci, potrafią zorganizować kilka pistoletów, którzy marzą o walce, o wydarciu się w lasy, wreszcie, gdy wszystko zawodzi, postanawiają że śmierć ich, którą prowokują na ulicach miasta i krew obficie rozlana, stanie się żałosną demonstracją. To miało nam otworzyć oczy.

Borwicz, z prawdziwym talentem narracyjnem, daje nam sugestywny obraz piekła w obozie janowskim. Ze spokojem uczonego do ostatniej minuty prowadzi notatki, kreśli niezapomniane sylwetki zbrodniarzy w mundurach SS, degeneratów, którym został wydany. Same groteskowe nazwy jakimi więźniowie próbują z wisielczym humorem przysłonić tortury, przedziwna ostrość widzenia, mimo zadawanego bólu, opis bez lamentacji, bez patetyzowania muszą wstrząsnąć każdym. Gdy czyta się te karty, wie się, że autor ściskał pióro tak, jak owi nieszczęśni swe mizerne noże oczekując w kolumnie na rozstrzelanie.

Książka Borwicza prócz wartości dokumentu, ma nieprzeciętne wartości literackie, choć niebardzo wypada mi o tym mówić, gdyż autor napewno kreślił te przejmujące opisy z wyrzeczeniem wszelkich osobistych ambicyj.

Wszystkie wydawnictwa Żydowskiej Komisji Historycznej są bardzo celowe i koniecznie powinno się z nimi zapoznać społeczeństwo polskie, gdyż niejednemu ukazałoby się to, czego nie rozumiał, lub nawet nie chciał pojąć — braterstwo. **Wojciech Żukrowski.**

W czterdziestolecie pracy naukowej Juliusza Kleinera

Gdy po raz pierwszy ukazały się w druku dwa pierwsze tomy monografii Kleinera o Słowackim, to było to w swoim czasie wydarzenie w dziejach naszej wiedzy o literaturze. Uzbrojony w rozróżnienie „nauk o kulturze“ i „nauk o naturze“ Rückerta i Diltheya, dobrze zaznajomiony z osiągnięciami metody badań psychologii tworzenia Diltheya, pojął Kleiner swoją pracę o Słowackim jako „dzieje twórczości“. W tym zakresie dał wzorową monografię literacką. Mógłby ktoś może zarzucić, że spotykamy w tym obszernym dziele ustępy, w których zjawiska drugorzędne potraktowane są na równi ze zjawiskami pierwszej ważności — ale to będą tylko nieliczne plamy na słońcu. Autor rozwija przed nami bogaty obraz wątków, wizyj i form artystycznych autora „Beniowskiego“, wnikając głęboko w stadia jego przemian duchowych, otwierając zawsze rozległe aspekty kulturalne i światopoglądowe. Szczególną zaś zasługą Kleinerowskiej monografii o Słowackim jest podkreślenie najwyższej wartości „Genezis z Ducha“, tego wspaniałego poematu o dziejach wszechświata, jak „Dziady“ są poematem o tragedii narodu, jak „Faust“ jest poematem ludzkości.

Zarówno w monografiach o Słowackim i Mickiewiczu, jak i w zbiorze szkiców, w którym omawia różne zjawiska literackie „w kręgu Mickiewicza i Goethego“, objawia się subtelny i wnikliwy historyk, wrażliwy na wszelkie odcienie kierunków kulturalnych. Zjawiska polskie występują na tle zjawisk i wielkich prądów zachodnioeuropejskich, nic nie tracąc ze swej istotnej wyrazistości i oryginalności.

Omawiając mistykę i w ogóle rozwój myśli Słowackiego i Krasińskiego, wnika Kleiner głęboko w kierunki filozofii romantycznej i doktryn mistycznych, z filozoficzną precyzyjnością ujmując ich istotę. Autor bowiem monografij o trzech naszych romantykach to badacz gruntownie filozoficznie wykształcony. Pierwszą jego większą pracą była monografia o „dziejach myśli“ Zygmunta Krasińskiego. W swych **„Studiach z zakresu literatury i filozofii“** analizuje pojęcie „idei“ u Berkeleya i rozważa podstawowe zagadnienie intuicjonizmu Bergsona.

W tej samej książce znajdujemy trzy rozprawy zasadniczej **metodologicznej** natury: „Treść i forma w poezji“, „Analiza dzieła“ i „Charakter i przedmiot badań literackich“. W pierwszej rozprawie rozwiązuje autor w sposób jedynie rozumny często odnawiane zagadnienie t. zw. „treści“ i t. zw. „formy“ w poezji. Trzecia z wspomnianych rozpraw daje zwięzłe prolegomena odrębnej **wiedzy o literaturze**, która jest zespoleniem: historii, systematyki i teorii literatury. Występuje tutaj Juliusz Kleiner jako samodzielny metodolog, torujący drogi polskiej metodyce wiedzy o literaturze.

Ten sam zbiór szkiców i rozpraw zawiera kapitalne studium o bajkach Krasickiego (— Krasickiego „Bajki i przypowieści“). — To arcydzieło wnikliwej analizy i syntezy historyczno-literackiej i psychologicznej zdaje się świadczyć o tym, że niesłusznie uważa ogół Juliusza Kleinera za znawcę i miłośnika wyłącznie epoki romantyzmu. Równie dobrze jak odtworzył atmosferę romantyzmu, mógłby autor tomu z roku 1925 odtworzyć epokę księcia biskupa warmińskiego.

Juliusz Kleiner to uczony wielkiej sumienności i olbrzymiej, benedyktyńskiej pracy; to świetny historyk i metodolog literatury, otwierający rozległe perspektywy kulturalne i światopoglądowe. To etyk, który w dziełach wielkich twórców doszukuje się niespożytych wartości etycznych. To także jednak wspaniały, szlachetny pedagog z Bożej łaski, którego postać psychiczna wryła się w serce każdego, kto nieco dłużej był jego słuchaczem. Pracował najpierw w jednym z gimnazjów lwowskich, potem na uniwersytetach warszawskim i lwowskim. Podobnie jak profesorowie Chrzanowski i Pigoń w Krakowie, był on zawsze przyjacielem, ojcem swych studentów. Bo Kleiner to nie tylko wysoka inteligencja i talent naukowy — to także wielki charakter i głęboko dobry człowiek.

Zdzisław Obrzud

Glossy i notatki

JAK SIĘ WASZE MIASTO NAZYWA?

Nareszcie ustalone zostaną w swym ostatecznym (oby) brzmieniu nazwy miejscowe na Ziemiach Odzyskanych. Uzgodniono wyniki badań nad tą sprawą, jakie przeprowadzało Biuro Nazw Geograficznych przy Polskiej Akademii Umiejętności pod kierunkiem prof. dr. Witolda Taszyckiego, z ostateczną bodajże w tym względzie instancją, jaką jest Komisja Ustalania Nazw Miejscowości w Ministerstwie Administracji Publicznej. Jak konieczna była ta zgoda, to na dowód tego dwie różne ogłoszone formy polskiej nazwy uzdrowiska Goer (w kom. Inst. Śl. nr. 7). (Nazwę wprowadzono dla uczczenia pamięci lekarza polskiego, dr. Sokołowskiego, który przyczynił się niegdyś dla rozwoju tego uzdrowiska).

Z fragmentarycznie ogłoszonych dotąd ustalonych spisów nazw wyziera ku nam niejedna sensacja. Bad Charlottenbrunn porzuci słusznie swe mało pomysłowe miano Zdrojowiec, a przyjmie wonną nazwę Jedlina-Zdrój. Kudowa będzie się ostatecznie nazywać Chudobice-Zdrój, Bad Altheide, dotychczasowy Puszczyków – Polanica-Zdrój, Reichenstein w ząbkowickim — Złotystok (nie Równe), Hain, nazwany na pamiątkę znalezienia wywiezionych tu przez niemców obrazów Matejki — Matejkowicami, zmieni swą nazwę na Przesieka, Hermsdorf (w jeleniogórskim) na Sobieszów (nie Chojnasty), Krummhuebel — na Drogosławice (nie Karpacz) i t. d.

Rozwiązano wiele sporów. Zostaną Głubczyce nie Głąbczyce, Kluczbork nie Kluczborek, Prudnik nie Prądnik, Legnica nie Lignica, Zgorzelec nie Zgorzelice, Żary nie Żóraw ani Żarów. Wprowadzono wiele trafnych, nowych nazw: Rychbach będzie odtąd Dzierżoniowem (na cześć słynnego pszczelarza i uczonego śląskiego Dzierżonia), Solice zwać się będą Szczawno-Zdrój, świdnicki Fryborg — Świebodzicami, a podgliwicki słynny Szywałd (Schoenwald), ostoja niemczyzny i tradycji dawnych kolonistów z głębi Niemiec, nazywać się będzie Bojków.

W ten sposób Ziemie Odzyskane będą miały nareszcie trwałe miana. **(brz)**

OPOLE

„Podhale — bibliotekom Opola". W ramach akcji repolonizacyjnej utworzone zostaną w powiecie opolskim trzy biblioteki ruchome, — w Krapkowicach, w Ozimku i Pruszkowie. Na apel czynników kompetentnych, skompletowaniem popularnych księgozbiorów zajęły się specjalne komitety obywatelskie w **powiecie nowotarskim,** pod hasłem: „Podhale — bibliotekom Opola". —

Z powiatu. Życie kulturalno-artystyczne w powiecie opolskim wykazuje stały wzrost. W okresie lutego i marca — zanotowano: 9 przedstawień amatorskich i 2 lową komedię Bliźińskiego: „Pan Damazy". Przed popisy śpiewackie. — W oparciu o teatr z Opola, wystawiono w Ozimku, w Pruszkowie i Dobrzyniu stystawienia amatorskie nieraz odznaczają się pewnym poziomem artystycznym. **(hl)**

NA ZACHODZIE JEST BRUDNO

Nie ma kultury tam, gdzie jet brudno, niechlujnie, nieestetycznie. Choćbyśmy zbudowali jeszcze tysiąc domów kultury i uroczyście otwarli dalszych kilka tysięcy świetlic — nie zmieni to w niczym istotnego poziomu kultury polskiej a co za tym idzie, jej obrazu w oczach obcych, gdy równolegle z tym będzie istniał stan, **przeczący prymitywnym pojęciom świata kulturalnego.** Można było jeszcze nawet w kwietniu i maju ubiegłego roku tłumaczyć się wojną i przemarszami wojskowymi. Ale dziś już nie wypada. Kto objeżdża Ziemie Odzyskane widzi: brudne dworce i place, niewysprzątane obejścia domów i gospodarstw, w bocznych uliczkach leżące kawałki szafy obok wyprutej kanapy, widzi nad brzegiem Odry połamane krzesło dentystyczne, postrzelane kawałki jakiegoś auta, widzi śmietniska w miejscach, gdzie były ongiś skwery widzi ludzi o nieczyszczonych butach, widzi pijących wódkę młodych i starych leniuchów. Widzi proszę was, obywatele, zanieczyszczone skandalicznie ustępy publiczne. Wstyd o tym pisać. Mam pewien projekt, tylko nie wiem czy zwrócić się z nim do Ministerstwa Kultury czy raczej do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Mianowicie idzie wiosna. Urządzamy na Ziemach Odzyskanych, a raczej w całej Polsce, miesiąc pracy porządkującej nasz kraj. Niech milicja pilnuje. Niech wezmą w tym zbożnym **dziele kulturalnym** udział szkoły, związki młodzieżowe i partie polityczne. Niech się nikt nie obraża, lecz ten brud nam szkodzi. Ten brud jest naszym wrogiem. Pragnę, by ta notatka nie utonęła w nawale spraw, i by trafiła do kogoś z czynników miarodajnych, który by to zagadnienie rozwiązał. Jest bardzo pilne. **(Zby)**

KRÓTKIE SPIĘCIA

Ziemie zachodnie, oto kierunek, w którym patrzę zawsze z niepokojem. Niewiele poczynań układa się tam po naszej myśli, surowe ustawy, hamujące nadużycia, wzmożenie kontroli i bezpieczeństwa przychodzą późno. Skutki naszego braku zdolności planowania już możemy oglądać. W nr. 13 „Tygodnika Powszechnego", T. Zb. Grabowski sumuje nasz wkład w ratowanie ostatnich wysepek etnicznych słowiańskich, nasz udział w walce o odrębność kulturalną Łużyc. Mimo, że lista Polaków, bojowników sprawy serbołużyckiej jest długa i zasługi położone są bezsprzeczne, Komitet Niepodległościowy Łużyc zwraca się z prośbą o opiekę nie do nas, tylko do Czechów.

Tu trzeba przyznać, że Czesi są zręczniejsi od nas i bardziej wyrobieni w kretactwie politycznym. Nie ponieśli oni prawie żadnych strat materialnych, zachowali uczonych i speców, nie upuszczono im tak jak nam strumieni krwi. Czeska propaganda góruje nad naszą, która nie ma nawet czasu by, jeśli nie zdobywać, to przynajmniej utrwalić, to cośmy dla wspólnej sprawy dokonali. Widać, że Łużyczanie utracili już nadzieję na możliwość jakiegoś wspólnego bytu państwowego przy boku Polski. Może jesteśmy zbyt rycerscy. Gdy wyciągamy rękę do zgody, każemy umilknąć sercu, choćby było pełne goryczy, udajemy, żeśmy zapomnieli o krzywdzie ludu Zaolziańskiego. Czesi, prowadząc z nami pertraktacje, nawołując do zbliżenia kulturalnego, równocześnie zwołują wiece antypolskie i nie zaprzestają krzyku o t. zw. worek kłodzki, który chcą od nas wytargować, za samą obietnicę przyjaźni.

Niestety z tego uporczywego krzyku, z map, broszur, zawsze coś utkwi w głowach dyplomatów mocarstw rozjemczych. Przecież prawdy nikt się nie doszukuje. Dlatego z niepokojem notuję, że w deklaracji Łużyczan, wyrażających chęć inkorporacji do Czech, ofiarują im ziemie polskie — raciborską, niską i kłodzką, tereny, na których nie ma ani Czechów, ani Łużyczan, a są jedynie Polacy.

W dobrej, dowcipnej kolumnie primaaprilisowej, Jan Piess demaskuje „złowrogi interwencjonizm czarnej międzynarodówki", znany karykaturzysta G. Miklaszewski zamieszcza rysunek pt. „nasze codzienne marzenia" — grupa mnichów w kapturach, czytając „Młot za Czarownicę", pali na stosie Kuźnicę, Odrodzenie. Szpilki i kota z drugim T, przywiązanym do ogona.

A propos Kuźnicy, nie będę się z nimi wdawał w dyskusję. Mimo mentorskich napomnień, nie tam będziemy się uczyli taktu. Czasami zdaje mi się, że współpracownicy Kuźnicy nie mają nawet czasu na czytanie własnego pisma.

W nr. 13 „Kuźnicy", St. Majewski omawia źródła gospodarcze imperializmu niemieckiego, podkreślając winę aliantów w ułatwieniu odrodzenia ekonomicznego, wydanie ciężkiego przemysłu w ręce Hitlera, dążącego do monopartyjnego ustroju. Dziś znowu to samo zaczyna się dokonywać na naszych oczach. Bzdurny mit jakiejś równowagi europejskiej, zmusza Anglię do podtrzymania Niemców i hamuje sprawiedliwe wyniszczenie gospodarcze, rozbiórkę ciężkiego przemysłu, który w każdej chwili można przestawić na zbrojeniowy.

Imperializm hitlerowski nie rozpadł się wraz ze zwęglonymi zwłokami swego twórcy, ale tkwi nadal nie tylko w Niemcach, ale zatruł wszystkie narody europejskie, które dostały się pod okupację, jadem nienawiści. Mimo, że J. Szczepański pragnie byśmy nie przeceniali mistycznej siły ruchu narodowo-socjalistycznego, nie możemy oprzeć się myśli, że te miliony dokonanych zbrodni, potworne cierpienia narodów, dręczonych przez sklepikarzy, drobnych urzędników, robotników i chłopów niemieckich, przyodzianych w mundury SS i SA, mają swe źródło w obłędzie mistycznym, w przewrotnej religii zła wyzwalającej tkwiący w ludziach głód irracjonalności.

Tak jak same materialistyczne widzenie świata nie ogarnie piekła obozów zagłady, tak samo nie wytłumaczy budzącego najwyższe oburzenie mordu, popełnionego na Józefie Oppenheimie. Jady pohitlerowskie nadal wdychamy z powietrzem. Strzały skrytobójcze, skierowane w plecy człowieka, który tyle lat kierował Tatrzańskim Pogotowiem Ratunkowym, muszą wstrząsnąć społeczeństwem, otworzyć wreszcie oczy tym wszystkim, którzy jeszcze wiążą jakieś nadzieje ze zbandyciałemi grupami leśnymi.

W nr. 12, „Odrodzenia" tym samym, bolesnym tonem oskarżenia, obnażającym nienawiść, małe i nikczemne bestyjki, brzmi ostatni wiersz Zuzanny Ginczanki, która padła ofiarą chciwości i wydana Niemcom, poniosła śmierć.

O brzmieniach we Francji popetainowskiej, o udziale lewicy w ruchu oporu opowiada nam T. Witek. Trzeba przyznać, że partyzantka francuska rekrutowała się po większej części z robotników i młodzieży, związana była z partiami socjalistyczną i komunistyczną. Dywersja nie miała nigdy tam tak szerokich rozmiarów jak u nas i nigdy nie była tak powszechną.

Czesi trzydniowe powstanie w Pradze, w którym Wehrmacht strzelał do SS, bo się nie chcieli poddać i Francuzi swoje operetkowe wyswobodzenie Paryża, potrafią lepiej zareklamować i politycznie sprzedać, niż my, którzy po dziś dzień nie ukazaliśmy światu całego, szaleńczego bohaterstwa walczącej stolicy. Zgadzam się, że powstanie warszawskie więcej sprawiło światu kłopotu i do dziś dnia narody europejskie nie bardzo wiedzą, co z tym fantem począć, zbywają nas zdawkowymi pochwałami, chcąc jak najprędzej zapomnieć o straszliwych rumowiskach wypalonej Warszawy.

O „powstaniu" w Pradze, pisze Rosjanin Simonow dramat, chwalą Czechów Anglicy i stawiają nam za wzór. Cóż robić? Przykro.

„Wieś" próbowała ubrązowić na posąg bojownika swobód chłopskich, Szelę, ciemnego wykonawcę „sprawiedliwego porachunku", nakręconego przez austriackich mandatariuszy. W ostatnim n-rze „Wsi", w dyskusji o Szeli wypowiadają się sami chłopi, wszystkie ich głosy wolne są od demagogii partyjnej i od przesadnego uwiebiania mydłków literackich dla krzepy krwawego oprawcy. Z prawdziwą dojrzałością i dumą potępiają Szelę, zgodnie twierdząc, że ręce splamione krwią bratnią nie są godne do rozdawania swobody. J. Mrozek stawia prokuratorskie pytania Szeli, na które wobec twierdzących odpowiedzi historyków, sąd ludowy musiałby wydać wyrok śmierci. Ciekawe jest zestawienie Szeli z działaniem band leśnych, kierowanych z zagranicznych ośrodków.

Nienawiść, nawet święta nienawiść, jaka miotała Leonem Bloy, którego wspomina J. Dobraczyński w „Dziś i Jutro", nie dała mu ładu wewnętrznego. Ten fanatyczny apostoł równości społecznej, brutalnie atakujący sobkowskie mieszczaństwo, perfumowanych labusiów i podważający niebo letnich katolików — nie zaznał w życiu żadnego triumfu. Dopiero gdy wraz z ciałem wypaliło się to, co było skażone ziemskimi żądzami i cielesną pasją, zdrowe ziarno sprawiedliwości społecznej, reform laicystycznych ruchu katolckiego owocuje wspaniale, doprowadzając do najwspanialszego rozwoju nowoczesnego katolicyzmu. Leon Bloy jest ojcem robotniczych ruchów odrodzeńczych — J.O.C.

Wstępny artykuł „Tygodnika Warszawskiego" przynosi nam rozważania o modlitwie znakomitego uczonego Al. Carrela. Trzeba zaznaczyć, że Carrel, którego studium „Człowiek istota nieznana" było prawdziwym wydarzeniem, nie jest katolikiem i nie należy do żadnego Kościoła. Carrel dochodzi przyczyny spłycenia naszego życia, przewagi materii nad duszą, maszyny nad człowiekiem — twierdzi, że jedyną drogą dla pogłębienia osobowości jest modlitwa. Modlitwa nieustanna, nie polegająca na klepaniu paciorków, ale na stałym ukierunkowaniu umysłu ku Bogu, związaniu z nim każdej myśli, każdego działania.

Głos Carrela, jednego z najbardziej znanych fizjologów świata, musi zastanowić, dlatego warto, by obywatele z "Kuźnicy" posłuchali go, na pewno im nie zaszkodzi. **Aga.**

Co robią Niemcy

W niniejszym naszym felietonie przyjrzyjmy się naj **nowszej niemieckiej produkcji literackiej.** O ile do niedawna prasa niemiecka narzekała na brak przydziałów papieru dla niemieckich firm wydawniczych, o tyle od kilkunastu tygodni pełna jest radosnego wrzasku o ukazujących się coraz obficiej i ładniej książkach niemieckich.

Odbędziemy najpierw przechadzkę po **wydawnictwach południowoniemieckich.** Poinformują nas najlepiej rośli Amerykanie z Oddziału Wydawniczego przy władzy okupacyjnej. Tu schodzą się wydawcy niemieccy z propozycjami i stąd odchodzą uszczęśliwieni, uzyskawszy przydział papieru.

100 wydawców rozpoczęło pracę w amerykańskiej części okupacyjnej! Znajdują się między nimi nowi i starzy, znani już dawniej i poza granicami Niemiec jak np. stutgardzka Franck'sche Verlagshandlung. 100 wydawców dało tu Niemcom w rękę sto książek, 11 artystycznych kalendarzy i rozsyła co pewien czas 35 periodyków.

Pierwszą książkę, jaką bierzemy do ręki to **Kanta „Na wieczny pokój".** Dla królewieckiego myśliciela bez znaczenia są właściwości narodowe lub indywidualne cechy historyczne. Głosi on wieczny pokój ludzkości, koncepcję idealnej Ligi Narodów, znając tylko jedno „dobre prawo — prawo do wolności". Niemcy, akcentując tak silnie słowami Kanta „prawo do wolności", nie mogą się ustrzec od aluzji do „niewolnej współczesności" — i pod tym kątem widzenia książeczkę Kanta omawiano w prasie niemieckiej. —

Z serii książek, które musiały wyjść a które zbytnią poczytnością się nie cieszą, to głównego oskarżyciela w Norymberdze Roberta H. Jacksona „Mowa zasadnicza" i arcybiskupa fryburskiego dra Konrada Groebera „Wspólna wina".

„Aby stworzyć pewne państwo na nowe, spojrzeć musimy w przeszłość" — pisze nie bez ukrytej aluzji w „Tagesspiegel" J. Freisel, omawiając książkę **Schillera** o prawodawstwie Likurga i Solona. W ogóle w Niemczech ukazuje się sporo wydawnictw z politycznej lub polityczno - filozoficznej literatury klasycznej, omawiającej zagadnienia państwa. Niemcy poczynają budować nową Rzeszę w oparciu o dobre wzory ale państwo napewno będzie złe.

Książki Zinnen - Verlagu z Monachium odznaczają się wytworną szatą zewnętrzną. Okładki mają z płótna, złocone napisy na rónobarwnych grzbietach przyciągają mile oko. Tutaj wydano Stendhala rzecz o miłości z delikatnymi rysunkami piórem i Thassile von Scheffera „Filozofię małżeństwa" z miedziorytami Duerera. Oczywiście wskrzeszono Heinego „Księgę pieśni" i — ale przeciwko temu można by mieć zastrzeżenia — satyrę „Z pamiętników pana Sznabelewopskiego". Okno na Wschód otwiera wydawca przez książki Amerykanki Pearl S. Buck i A. T. Hobarta („Nafta dla lamp chińskich"). W Zinnen-Verlagu spotyka się poza tym E. T. A. Hoffmann z Gotfrydem Kellerem, młodszym Ernestem Wiechertem i najmłodszym chyba potomku utalentowanej rodziny — Edwardem Claudiusem.

W ogóle powyższe wydawnictwo cieszy się szczególnieszymi względami zarówno **Publications Sections** jak i czytelników. Cenzura amerykańska jest w stosunku do Zinnen-Verlagu również nadspodziewanie pobłażliwa. Nic też dziwnego, że zapowiadane tu są takie książki, jak poezja żołnierska Koernera, antologia poezji poległych w minionej wojnie poetów niemieckich. Brakuje tylko, by przedrukowano Waltera Flexa, szowinistycznego grafomana z tamtej wojny, i Hermanna Loensa, autora pieśni „Wir fahren gegen Engelland", zaciekłego nacjonalistę, czczonego w Niemczech i dzisiaj, ale publicznie tylko jako piewcę... przyrody i przygód łowieckch.

Dużo książek dla dzieci, same nowości. Ze starych nie mają właściwie co przedrukowywać, za dużo było militarnych bajek. **Wspaniałe kalendarze,** na jakie daremnie czekaliśmy i u nas, czynią zadość tradycji wydawnictw niemieckich. Beckstein w Monachium wydał kalendarz sztuki pt. „Niemieccy romantycy" w szacie zupełnie pokojowej. Również i Zinnen dał swój kalendarz - almanach poświęcony sztuce, głównie niemieckiej. Astronomiczny kalendarz Wintera z Heidelbergu powtarza między innymi przepowiednie, które ponoś kolportowali młodzi konspiratorzy z narażeniem życia w czasie wojny w szeregach niemieckich. „Tak to astrologia — konkluduje kalendarz — przyczyniła się do rychlejszego rozkładu nazistowskiej armii." Niemcy łoszukują się zasług wszędzie, w każdej mysiej dziurze, skoro zasług w większym stylu nie ma a każdy z nich ocieka od zbrodni. Militkim i rzeczowym kalendarzem jest stutgardzki „Kosmos-Taschenkalender", głoszący w słowie i rysunku przyjaźń z przyrodą i techniką.

W różnolitości południowoniemieckiej produkcji książkowej skromnie odbijają się sprawiedliwe słowa Ernesta Wiecherta, słowa, których tysiące Niemców, czytających z upodobaniem Sznabelewopskiego, nie zauważa: „Bo powinniście nie tylko cierpieć ale i czynić. I wszystko co czynicie, winniście czynić tak, by cierpienie łagodzić. Pozwólcie wygrzebać z rumowisk zniszczenia dom i sprzęt domowy tym wszystkim, którzy serca nie mogą oderwać od swojego mienia. Wy zaś wygrzebać musicie coś innego, co głębiej jest zagrzebane niż tamte rzeczy: wy macie wygrzebać Boga spod ruin antychrysta, jakiehy tylko imię nosił. I musicie odgrzebać miłość spod ruin nienawiści. I prawdę musicie znowu wygrzebać i prawo i wolność..." Wiechert napisał to do młodzieży niemieckiej, do tej samej młodzieży, która garnie się do Erlangen, na uniwersytet, gdzie zasyczała znowu hitlerowska bestia.

Taki był by plon wydawnictw południowoniemieckich. Dodamy do tego, że 400 książek w chwili obecnej leży na linotypach czekając na przydział papieru. Sam Zinnen-Verlag przewiduje w bieżącym roku wydanie około dwustu książek.

Również i **w innych częściach Niemiec ruch wydawniczy rozwija się bogato.** Krzepi to serca Niemców. Książki są tanie gdzie się tam mierzyć taniością naszym książkom z ich oprawnymi przeważnie w płótno księgami. Pomoc aliantów pod tym względem oczywiście jest ogromna. Niektóre książki wychodzą na doskonałym ilustracyjnym, gładkim papierze.

W Tubyndze ukazało się już 6. tomów wielkiego czterdziestotomowego wydania pism i korespondenji Leibniza. Dzieło to subskrybowały wszystkie większe biblioteki świata. W 14. tomach ma się ukazać Tołstoj po niemiecku. Na początek wydano „Sonatę Kreuzerowską". W tym samym wydawnictwie (Dtsche B. V. u. V. GmbH) ukazuje się dwujęzyczny Szekspir (około 50 tomów) oraz teki wielobarwnych reprodukcyj największych malarzy świata. Berliński Aufbau-Verlag ruszył z wielotomowymi wydaniami klasyków niemieckich oraz z pełnym wydaniem dzieł Gorkiego w języku niemieckim. W Turyngii w nakładzie 30.000 egzemplarzy ukazała się książka o demokracji sowieckiej. 50.000 egzemplarzy liczy wydana w Berlinie przez Maxa Febnera antalogja z mów, dzienników i artykułów Józefa Goebbelsa pt. „Co mogło się zdarzyć".

Nakłady niemieckich powieści osiągają cyfry dwustu tysięcy egzemplarzy (np. Henryka Manna „Poddany" lub Fritza Erpenbecka „Założyciel"). Niezliczone zbiórki nieznannych dotąd poetów wychodzą przeciętnie w nakładzie od 5.000 do 10.000 egzemplarzy. Czasopisma typu magazynowego, których w całych Niemczech jest już 16, mają łączny nakład czterech milinów egzemplarzy. Cała ta, bogata i solidna pod względem estetycznym literatura niemiecka wydana w ostatnich miesiącach, przenika już zagranicę, gdzie spotyka się z długmi i zazwyczaj serdecznymi omówieniami. Niemcy spodziewają się, że w bieżącym roku 500 dalszych nakładów otrzyma prawo wydawania książek. **Weryfikacja nakładów** odbywa się pobieżnie i lekkomyślne. Już są czynne wydawnictwa, które długi czas zatruwały naród niemiecki literaturą rasistyczną lub superpatriotyczną. Komisje weryfikacyjne składają się często z ludzi, mało znających stosunki wydawnicze w Niemczech hitlerowskich.

Źle jest, że w Niemczech już teraz ruch wydawniczy jest żywszy niż w Polsce. Co będzie za lat kilka? Który potulny dziś nakładca odważy się wydać pierwszą książkę antypolską? Oto są pytania, które nas mogą niepokoić, ale które zmuszają nas do żywszej obserwacji wszystkiego, co robią Niemcy, a więc także ich ruchu wydawniczego. **(wisz)**

Życie muzyczne Katowic

Ostatni tydzień bardzo ożywionego dotychczas ruchu koncertowego Katowic przyniósł dwie tylko audycje muzyczne: w ramach XXII Środy Instytutu Śląskiego wieczór poświęcony Karolowi Szymanowskiemu, w dziewiątą rocznicę śmierci wielkiego kompozytora i w sali wielkiego studio koncertowego rozgłośni śląskiej 150-ty koncert orkiestry symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach, połączony z uroczystym obchodem pierwszej rocznicy istnienia i działalności tej orkiestry.

Program Środy Instytutu Śląskiego zawierał studium monograficzne o Karolu Szymanowskim, w którym autor i prelegent, Tadeusz Żakiej, w sposób niezwykle interesujący, pięknym językiem literackim i z wielką znajomością rzeczy przedstawił słuchaczom etapy życia, a na tle ich ewolucję stylu w trzech okresach twórczości genialnego kompozytora. Twórczości, która o dziwo, mimo niezaprzeczalnej wielkości i mimo entuzjastycznego przyjęcia ze strony najmłodszych twórców polskich i wielkiego wpływu, jaki wywarła na nową muzykę polską, wciąż jeszcze jest udziałem niewielkiego tylko kręgu muzyków (i to nie wszystkich) i jeszcze bardziej szczupłej grupy melomanów. W tym stanie rzeczy studium T. Żakieja, będące jednym z nielicznych opracowań dotychczasowych ze względu na swoją stosunkowo niewielką rozmiarami, a rzeczową, interesującą i łatwo dostępną treść, winno być udostępnione drukiem jak najliczniejszym rzeszom młodzieży i szerokim kołom kuturalnego społeczeństwa polskiego.

W części koncertowej Tadeusz Żmudziński, wybitnie utalentowany młody pianista śląski (chorzowianin) odegrał z wielką kulturą, muzykalnością i temperamentem artystycznym program, wymagający pewnej ręki i poważnej, dalekiej od wszelkiej łatwizny techniki pianistycznej. Były to: preludium i fuga cis-moll, wariacje b-moll, serenada Don Juana i oberek.

„Orkiestra Polskiego Radia" w Katowicach, a od listopada ub. roku już „Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia" jedyna zresztą w radiofonii polskiej, obchodziła uroczystość 150-tego, w przeciągu roku przygotowanego i wykonanego koncertu. Od skromnej liczby 16-tu muzyków, filharmoników krakowskich, w pierwszym koncercie w dniu 25. III. 1945 r., drogą stopniowego, powolnego powiększania zespołu rozwinęła się do liczby 46 osób w 150-tym koncercie w dniu 31. III. 46 r.

Pod dyrekcją jej założyciela, pierwszego dyrygenta i dotychczasowego naczelnika wydziału muzycznego Rozgłośni, Witolda Kałki-Rowickiego wykonała orkiestra, wobec zaproszonych gości i licznie zebranej (ponad 200 osób) publiczności, uwerturę do opery „Halka' Moniuszki, koncert fortepianowy e-moll Szopena, z udziałem pianisty Bolesława Wóytowicza, „Kaprys włoski" Czajkowskiego i „Tańce połowieckie" Borodina.

Witold Kałka-Rawicki to typ dyrygenta, przewodnika i nauczyciela. Dobre ucho,, świadomość celów i dróg, prowadzących do ich zrealizowania, wytrwałość, przy spokojnym, „klasycznym" sposobie dyrygowania — oto jego cechy. Wyniki jego pracy widoczne w omawianym koncercie zasługują na wysokie uznanie. W jego ujęciu rytmika, dynamika i tempa w wykonanych utworach były bez zarzutu. Całość wysoce artystyczna.

Bolesław Wóytowicz, doskonały muzyk i szczery artysta, znakomicie władający materialnym dźwiękiem fortepianu, potrafi wydobyć z instrumentu i ton, głębię, śpiewność, moc i lekkość.

W koncercie Szopena, przy znakomicie opanowanej i właściwie dynamicznie ustosunkowanej orkiestrze, wydobył Wóytowicz cały czar i poezję muzyki szopenowskiej.

M. Józef Michałowski.

Do Przyjaciół „Odry"!

„ODRA", zaczęła wychodzić jako tygodnik. Prenumerata pisma wynosi miesięcznie 28 zł, kwartalnie 80 zł. Prosimy o wpłacanie prenumeraty na konto PKO III 4960.

Równocześnie przepraszamy wszystkich naszych prenumeratorów za dotychczasowe niedociągnięcia w dostawie pisma. — Prosimy o kierowanie wszystkich reklamacyi do Administracji lub też wprost do Redakcji „ODRY".

Patrzymy na ekran

Z całą radością donosimy o premierze powojennego filmu anglo-amerykańskiego „Nieuchwytny Smiths" (kino „Rialto").

Z radością, bo jakichże wzruszeń dostarczyć może dobra ręka reżyserska każdemu, bez wyjątku konsumentowi filmu, bynajmniej nie tylko znawcy czy krytykowi filmowemu. Wzruszenia te poczynają się w najbardziej kryształowej idei człowieka, ryzykującego bez przerwy życie dla dobra ludzkości, w imię której człowiek ten ratuje ze szponów berlińskiego Gestapo cały szereg dusz: — tak właśnie: nie ludzi ale dusz. Nie może uratować wszystkich, więc ratuje najcenniejszych tych, których duch, umysł czy zdolności są własnością całego kulturalnego świata. Nie będą więc już ręce genialnego pianisty kopały obozowej ziemi. Smithss czuwa. Nie będzie już dźwigał ciężarów za drutem kolczastym angielski fizjolog: Smith ratuje. Nie zginie pod obozowym murem polski żołnierz wolności: — Smith nie dopuści! — Ku niemu modlą się wszystkie, do dna umęczone dusze ofiar hitlerowskiej „Kultury" — i on nie zawodzi. Przeklina go i węszy jego tropy całe Gestapo z wszechwładnym grubasem berlińskim na czele. Chytry jest grubas berliński: ma do swojego rozprządzenia najtęższe mózgi Gestapo. A Smith?...

A Smith jest fujara, zapominalski, czasem nawet zgoła nieprzytomny i ma tylko jedną, jedyną broń: anglosaskie poczucie humoru. I to rozstrzyga.

Film wspaniały. „Cieniutka" reżyseria nie zostawia żadnego, zbędnego ściegu. Bohater — Leslie Howard: piękna, trochę neurasteniczna twarz — patronuje delikatnej koronkowej niemal akcji i patrzy w nas prosto z ekranu inteligentnymi, wszystko wiedzącymi oczami. Niesposób się wyzwolić z uroku tych oczu.

Niestety — pięknego Howarda zestrzelili Niemcy podczas wojny wraz z samolotem nad Francją. Piękną miał śmierć bohater „Nieuchwytnego Smitha". Anglia ogłosiła żałobę narodową, po jednym ze swych największych artystów.

Reszta zespołu aktorskiego w tym kulturalnym filmie — dostosowana gestem i umiarem do głównego bohatera. Niestety, przepada cała finezja wspaniałych dialogów, bo polskie napisy „Made in London" są ohydne i jedyna to plama na tym uroczym obrazie.

Jeżeli mowa o obrazie, to musimy wspomnieć już po raz wtóry o cenach biletów, bo to też obraza. Ceny te, nawet zniżone, są stanowczo za wysokie dla naszego widza. Z tym trzeba zrobić wreszcie porządek. Przeważna część wyświetlanych u nas filmów ma nieprawdopodobne, czasem nawet więcz bzdurne skróty i to ze starości, z nadużycia, a bynajmniej nie spowodu cenzury. I za oglądanie tych porwanych podskakujących scen, biedny amator kina musi płacić wysoką „zniżkową" cenę. Uważajcie, panowie, bo się źle bawicie! Już dochodzą nas wieści, że w innych, większych miastach frekwencja w kinach spadła w porównaniu z ubiegłymi miesiącami poniżej 50 proc. — Może to wreszcie zwróci uwagę kompetentnych czynników na niebezpieczniejszą stronę tego kinofikacyjnego medalu. No i poza tym trzebaby chyba jakoś uczcić 50-letnią rocznicę powstania filmu, rocznicę, którą w innych krajach zupełnie inaczej obchodzą. — Czytajcie zagraniczne gazety i wysnujcie wnioski.

Aleksander Baumgardten.

Redaguje komitet. Redaktor naczelny: **Wilhelm Szewczyk.** Adres redakcji: Katowice, 3. Maja 36a (II p.), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3. Maja 12. — Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", ul. 3. Maja 12. Prenumerata miesięczna 28 zł, kwart. 80.— zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9, Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik", Katowice, 3. Maja 12. Wydawca: Sp. Wydawnicza „Czytelnik" — Nr R 1676